AS



NR. 18.
30 CZERWCA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.

◆

OCZY, KTÓRE FASCYNUJĄ...

Katarzyna de Mille, córka słynnego reżysera filmowego, nowa gwiazda Hollywoodu

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

Oto dalsza serja „Pięknych uśmiechów", które jury zakwalifikowało do wzięcia udziału w naszym Wielkim Konkursie na „Najpiękniejszy Uśmiech".

Czytelnicy „Asa", którzy zechcą wziąć udział w głosowaniu, winni do swej opinji dołączyć kupon, zamieszczony na stronie 31-szej niniejszego numeru.

Redakcja przypomina zainteresowanym, że fotografje odsyła tylko za poprzedniem przesłaniem znaczka pocztowego.







Violetta Theo — Warszawa.

Na lewo: p. Władysława J. — Poznań.

Na prawo: „Aknaj" — Bystra.







Renusia — Starachowice.

Na lewo: Hala E. — Warszawa.

Na prawo: „Uhnowianka" — Lwów.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 18 **Niedziela 30 czerwca 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 18-go:



Fot. Kolowiec - Kraków.

W ub. niedzielę jako w ostatni dzień urzędowej żałoby po zgonie Marszałka Józefa Piłsudskiego zjechał do Krakowa rząd Rzeczypospolitej in corpore, oraz przedstawiciele najwyższych instytucyj państwowych, by w podziemiach Wawelu złożyć ostatni pośmiertny hołd cieniom wielkiego Budowniczego Polski. Po tym akcie udali się członkowie rządu na Sowiniec i tu wzięli udział w sypaniu kopca. — Na zdjęciu (od prawej): Gen inspektor armji gen. Rydz-Śmigły, kierownik min. spr. woj. gen. Kasprzycki, premjer Sławek, min. spr. wewn. Kościałkowski, min. spr. zagr. Beck, marszałek Sejmu Świtalski i prezes N. I. K. gen. Krzemiński podczas zaimprowizowanego śniadania na Sowińcu.

PIĘKNO KSIĄŻKI WSPÓŁCZESNEJ POLSKIEJ



Na prawo od góry: St. Wyspiański, autoportret. — Jego stylizowany ozdobnik. Poniżej: Układ graficzny „Hymnu" Wyspiańskiego, wykonany przez autora.

O odrębności i wartości kultury narodowej — obok nauki, sztuki i literatury — decyduje także, a może nawet przedewszystkiem — książka. Książka już nie jako dzieło twórczości jej autora, ale jako dzieło sztuki drukarskiej, typograficznej, której piękno kształtuje krój czcionek, układ, zdobnictwo, papier, oprawa.

Każda książka powinna być piękna. Zarówno cennik nasion, katalog, podręcznik szkolny, tom powieści, czy zbiór poezyj. Każde z tych wydawnictw powinno być dziełem twórczej myśli i artystycznej pracy drukarza. Ale współczesny tyran-maszyna, który wartość jakościową rękodzieła typografa zamienił w oszałamiającą ilość w pośpiechu i niestarannie produkowanych książek — nie pozwala, jakże często, na oddanie w ręce czytelnika wydawnictwa, któreby przekonało nas o czujności drukarza nad szatą graficzną książki.

Ale są dni, w których na warsztacie pracy drukarza zjawiają się dzieła nieprzeciętnej miary, dzieła natchnionych twórców, którzy w kształt i melodję słowa zamykają najwyższe wzloty ducha, najszczytniejsze uczucia. Są dni, w których drukarz dostaje do złożenia i wytłoczenia dzieła, mówiące o pięknie, kulturze i znaczeniu narodu. Dzieł tych nie może drukarz oddać na pastwę niechlujnych maszyn. Musi odczuć i zrozumieć wartość i piękno tych dzieł, którym przyjdzie ujrzeć światło dzienne z jego oficyny drukarskiej. Tym dziełom musi nadać drukarz-artysta taki kształt, by w nim duch dzieła ożył i przemówił do czytelnika.

Zstąp Gołębica, Twórczy Duch,
byś myśli godne wzbudził w nas,
ku Tobie wznosim wzrok i słuch,
społnie żyjący, wzrośli wraz.
Który się zwiesz Biesiadą dusz,
Wszechmogącego Boży dar,
płomieniem duszom piętno włóż,
przez czułość serc, zdrój żywy, żar.
Zbrój nas we siedem darów łask,
Prawicą Ojca ojce wskrzesz,
w Obrzędzie roztocz wieszczy blask,
we Słońce dusze w lot Twój bierz.
Zestąp Światłości w zmysłów mrok,
dobądź serc naszych zapał z łon,
by człowiek przemógł cielska trok
i mocen wzniósł się w męzki ton.
Odwołaj wroga z naszych dróg,
w pokoju pokój zbawczy nam,
powiedziesz nas Wieszczący Bóg,
przejdziemy cało złość i kłam.
Zwól przez Cię w Tobie Ojca znać,
zwól, by był przez Cię poznan Syn,
zwól w Tobie Światłość światu dać,
zwól z wiarą wieków podjąć CZYN.

53





Zofja Stryjeńska „Wymarsz na hale". Ilustracja do książki „Muzyka Podhala".
Na prawo: Jakób Mortkowicz w polskim pawilonie na wystawie zdobnictwa książki w Lipsku.



Musi wtedy pomyśleć typograf przedewszystkiem o czcionce, w którą przyjdzie mu zamknąć myśl autora i o układzie, który jest najistotniejszą częścią duszy książki. Treść książek nigdy nie jest równoznaczna i równoważna. Nie można przeto ich wszystkich składać tą samą czcionką. Ale gdy w kasztach drukarskich jest mały zapas krojów czcionek, forma układu zadecyduje o oryginalności i pięknie książki. Tekst wielu książek, złożonych nawet tym samym krojem czcionek, można w przeróżnych czarnych formach rozmieścić na białej płaszczyźnie stronicy.

Każdy drukarz powinien być artystą o wielkiej indywidualności. I tak, jak po stylu dzieła sztuki malarskiej czy rzeźbiarskiej, poznajemy twórcę, tak po kształcie zewnętrznym książki, po stylu jej formy graficznej powinniśmy poznać artyzm i indywidualność typografa.

Książka polska już u zarania swej historji posiada piękne karty, gdy to ukazywały się wydawnictwa Szarfenbergerów, Unglerów, Wierzbiętów. Wówczas piękno graficzne książek polskich nie ustępowało w niczem kulturze Zachodu. Później, z latami rozkładu politycznego w państwie i upadku kultury, a wreszcie z chwilą upadku niepodległości — przyszedł też zanik piękna książki. Książka polska musi wieść żywot tułaczy. Zaborcy nie pozwalają na rozwój polskiego piśmiennictwa, a tem samem nie możemy mówić o grafice polskiej książki. Utwory polskich pisarzy, cała natchniona literatura romantyczna musi być drukowana poza granicami ziem polskich, w oficynach lipskich, paryskich, brukselskich, londyńskich. Książka polska ma wtedy szaty cu-

Poniżej: Stefana Żeromskiego „Duma o Walgierzu Udałym", ozdoby graficzne W. Skoczylasa.



olno z wysokości wierzchnicy Cudna zstępuje.

Sama jedna po stopniach idzie. Skierowała cicho kroki w więźniowy kąt. Senne, jedwabne słychać stąpanie, łagodne, jak szelest pajęczej, szkarłatnej pawłoki, co ciało jej królewskie przesłania. Oczy żony wyniosłe, brwi zwiedzione, na ustach niemasz uśmiechu. Spojrzała w oczy nędzarza.

Słowo słychać:

— Laskę przynoszę.

A gdy ów milczy, groźne pada ostrzeżenie:

— Jeśli będziesz milczał, odejdę. A odejdę nazawsze. Proś mię, a może łaskę uproszoną zleję na czoło twoje.

Dusi się rycerz błotem słów, szlocha w sobie, tarza się w barłogu hańby. Aż, przezwyciężony od długiej nędzy, wymówi:

— Łaski!

— Masz zniżyć głowę do stóp. Na znak.

— Zniżę głowę.

— Wyrzeczesz się przeminionej sławy i snu o sławie.

Spojrzał w nią Walgierz krwawemi oczyma. We wzroku nanowo kiścienie ze żmij, w zimnym uśmiechu strzała zatruła ciemierem.

53

dzoziemskie, skromne, bo na inne nie pozwalała niezasobna sakiewka polskiego poety, czy polityka tułacza.

Po 1863 roku polska literatura i polska książka wydobywa się z mroków konspiracyjnych drukarń. Ale wciąż zapatrzona jest w obce wzory.

I dopiero Stanisław Wyspiański, który genjuszem swym chciał przeorać całą kulturę duchową i materjalną polski, ożywił polską grafikę drukarską. On to z rozmachem wielkiego reformatora-rewolucjonisty wskazał książce polskiej drogi, po których kroczyć powina, by nasza rodzima kultura wzbogacona została prawdziwą, wspaniałą wizją książki szczerze polskiej. Nieraz wojny prowadzić musiał z kierownikami drukarń. Zwyciężył jednak, tworząc grafikę tygodników i gazet. Sam nadawał kształty swym książkom i dziełom przyjaciół-twórców. Wskazał na znaczenie plam czarnych i białych układu, dobór ozdób graficznych (wspaniałe stylizowane kwiaty!) i ilustracyj, które powinny być oryginalnem dziełem sztuki, nie tandetą oleodrukową.

Wszyscy współcześni twórcy książek polskich są spadkobiercami myśli i pracy Wyspiańskiego. Przedewszystkiem wspomnieć trzeba o poecie Emilu Zegadłowiczu, który podobnie, jak Wyspiański, sam tworzył i tworzy kształt graficzny swych książek. Najpierw współpracował z typografem wadowickim Foltynem, przetwarzając na współczesne piękno formę graficzną staropolskich książek, zdobiąc swe dzieła średniowiecznemi drzeworytami, lub też prymitywem współczesnego drzeworytnika Jędrzeja Wowro. W ostatnich latach znalazł najbliższego sobie duchem typografa poznańskiego, słynnego Jana Kuglina, wydawcę dzieł poetyckich w niezwykle oryginalnej, pięknej szacie graficznej. Są książki, wydane przez Kuglina, które złożone zostały pierwszą oryginalną czcionką polską, t. zw. antykwą Jeżyńskiego, ozdobione drzeworytami (barwnemi), a nawet inicjałami pierwszych słów utworu, malowanemi ręcznie, w każdym egzemplarzu książki inaczej. To już przepiękny powrót do wspaniałych książek średniowiecza, gdy zakonnicy farbą i inkaustem, nie znając druku, tworzyli nieśmiertelne dzieła sztuki graficznej.

Dziś współczesna książka polska odnosi zwycięstwa na wystawach międzynarodowych. I nietylko triumfuje piękno graficznego układu książek, ich dobry papier i oprawa, ale także zdobnictwo. Ilustratorami naszej książki stali się najwybitniejsi artyści, ażeby wymienić tylko W. Skoczylasa, Stryjeńską, E. Bartłomiejczyka, którzy nie, jak to dawniej bywało, „obrazkami" odtwarzają tekst, ale uzupełniają go rzetelnemi dziełami sztuki. Wielka to i niezapomniana zasługa, przedewszystkiem wydawcy Jakóba Mortkowicza, który zainteresował artystów tym rodzajem sztuki.

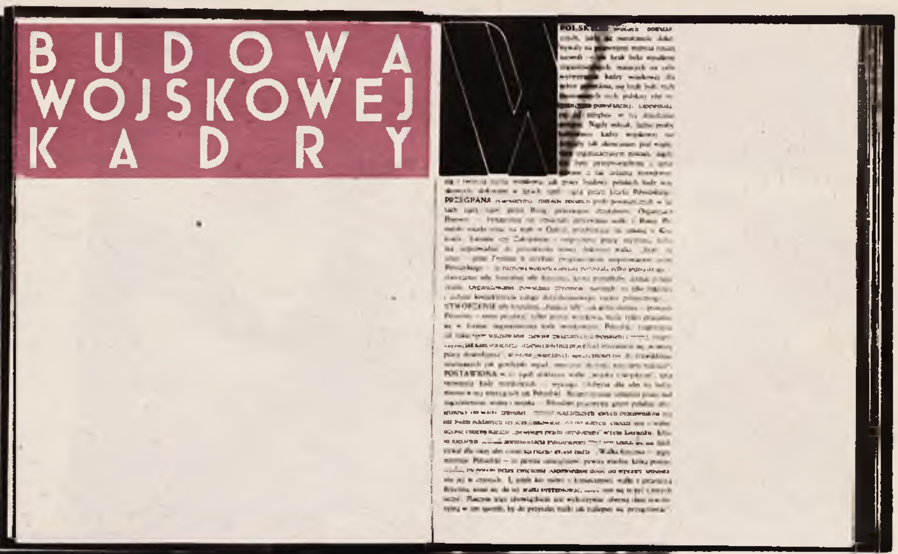
Przy warsztatach drukarskich stanęło teraz, obok drukarzy-artystów, najmłodsze pokolenie grafików, którzy twórczo przemyślanym i oryginalnie opracowanym układem graficznym, świetnie sharmonizowanym z różnokształtnemi plamami ilustracyj, tworzą z poszczególnych stron książek, zarówno literackich — jak i albumowych — prawdziwe dzieła sztuki.

O pięknie książki trudno mówić, trudno pisać, by jej wizję graficzną uplastycznić w wyobraźni czytelnika. Książki trzeba kochać i gromadzić koło siebie, pięknem książek rozkoszować się, wracając do nich raz po raz, by odkryć w ich szacie graficznej coraz to nowsze wartości i artystyczne „smaczki".

Pięknych książek nie wolno ze snobistyczną obojętnością gromadzić w szafach bibljotecznych, czy na stolikach salonu. Piękne książki posiadają zawsze wartość zewnętrzną i wewnętrzną. Jedną i drugą musimy poznać, bo z jednej i drugiej możemy być dumni.

Polska literatura i polska książka to jedne z najwspanialszych w współczesnej kulturze.

Stanisław Witold Balicki.



Dwie strony z dzieła „Album Legjonów polskich", układ graficzny Anatola Girsa i Bolesława Barcza.

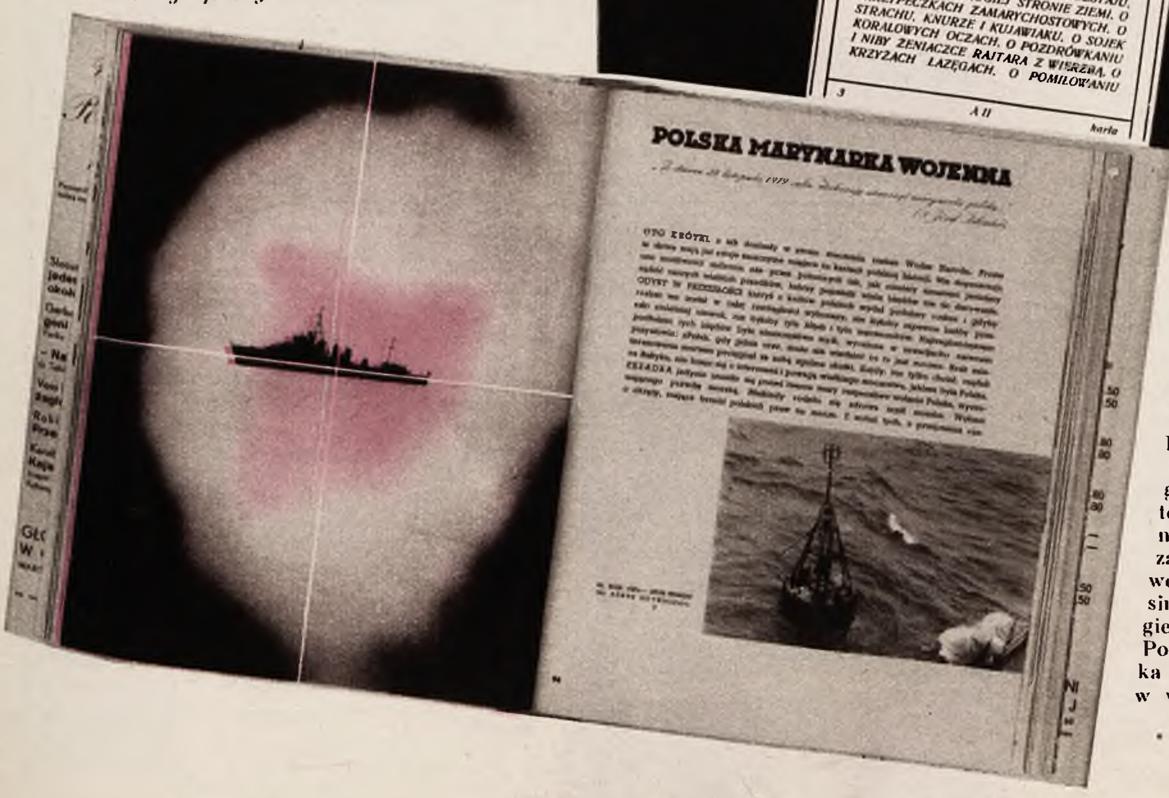


W kole: Emil Zegadłowicz.



Naprawo: Strona „Kolędziołków Beskidzkich" E. Zegadłowicza, w układzie graficznym autora.

Poniżej: Dwie strony z dzieła „Polska na Morzu", układ graficzny A. Girsa i B. Barcza.



CZWORONOŻNI „LAUREACI"



Chart syberyjski „Boy", wł. p. Janiczek z Chorzowa, otrzymał drugą nagrodę w konkursie „Pani i Pies" Fot. Datka — Katowice

Pewien sceptyk wyraził się kiedyś: — „Im bardziej poznaję ludzi, tem więcej kocham psy". Choćby się nie solidaryzowało z tem powiedzeniem, które autora jego w miarę rozglądania się po świecie prowadziło od jednej kategorji ludzi do drugiej, aż go „sprowadziło na psy", to jednak trudno oprzeć się wrodzonej sympatji, jaką się czuje do tego stworzenia, najbliższego człowiekowi.

Oczywiście i pies przechodził różne metamorfozy. Nieszczęśliwe to stworzenie musiało zgodnie ze zmieniającemi się gustami ludzkiemi, przydłużać uszy lub ogon, zapuszczać sumiaste wąsy lub brodę, innym znów razem skracać nogi lub je wydłużać w nieskończoność.

Pies był przedewszystkiem od wieków najlepszym towarzyszem człowieka. Znajdujemy go też na starych sarkofagach, gdzie jako symbol wierności spoczywa zwykle u stóp swego pana. Obecnie pies również kręci się koło nóg swego władcy, nie przybiera jednak już takich pomnikowych podstaw. Bo też pies dużo stracił na swej ważności i z przyjaciela człowieka stał się w wielu wypadkach jego zabawką.

— Niema pan pojęcia, jak nam psom życie już obrzydło w ostatnich czasach — skarżył mi się pewnego razu znany skądinąd ostrowłosy foxterrier, podkręcając w szczotkę ostrzyżonego wąsa. Traktują nas jak zabawkę, każą nam się wygłupiać, chodzić na tylnych łapach, grać na fortepianie, bawić się piłką. A my przecież, psiakrew, stworzeni jesteśmy do tropienia lisa., do polowania i t. p. godziwych rozrywek. E, szkoda gadać!...

Dotknąłem bolesnego mejsca w sercu pieska i słuchałem z zainteresowaniem dalszych jego wywodów.

— Tylko jeszcze w Anglji nas rozumieją. Naprzykład mój kuzyn Teddy, mieszkający u lorda Kundelbury, wiedzie zupełnie miły żywot i czuje się świetnie. Złość mnie bierze, jak patrzę na moich kolegów, którzy zeszli do roli jakichś małp salonowych!

Gdy dowiedziałem się o wystawie psów w Katowicach, urządzonej przez Śląskie Tow. Ochrony Zwierząt, podążyłem tam, by odświeżyć dawne „psie" wspomnienia. Nie pożałowałem wizyty, gdyż było co oglądać. Takie charty n. p. jak: „Iwan" lub „Boy" p. Marleny Janiczek, przypominaja zwierzęta, spotykane na starych portretach, a odznaczające się swoistą wytwornością. Albo np. takie wspaniałe foxterriery ostrowłose, jak: „Boby", „Deli" i „Hexe" p. Erny Klose lub „Tom" wzbudzają przecież szczerą sympatję u widza. Lecz również i kuzyn tamtych, „Car" z młodszej linji airedale-terrier, wł. p. Lamli, posiada swoisty psi urok, jak również sealyhan-terrier „Bonny". Chińskie szpice Chow-Chow, reprezentowane przez takiego „Pinxa" (własność p. konsula szwedzkiego Mauve'go), znajoma moja nazwała „słodkiemi" i przyznam się, że w tym wypadku miała rację.



Trzy rozkoszne ostrowłose fox-terriery „Boby", „Deli", „Hexe", wł. p. Erny Klose, nagrodzone zostały przez Śląskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt.
Fot. Star, Katowice.

Ze względów politycznych wielkie zainteresowanie wzbudziły pinczerki japońskie, jak n. p. „Myszka" oraz pekińczyk „Liti", które mimo antagonizmu na Dalekim Wschodzie, zgadzały się wyśmienicie. Konkurencje, urządzone na rewji w Katowicach „Pani i jej pies" oraz „Dziecko i pies", a wkońcu „Pies — towarzysz", oświetliły rolę naszych czworonogów z różnych punktów widzenia. Bo przecież zależnie od rasy, każdy pies ma swój indywidualny charakter. Charta przyrównałbym do znudzonego życiem arystokraty, owczarek jest jakby wcieleniem dobrotliwego ojca rodziny, fox-terrier, zwłaszcza ostrowłosy, przypomina mi dzielnego sportsmena, idącego przebojem na boiskach i kortach, a pekińczyk naprawdę przypomina stylizowany posąg chiński. Pamiętam, jak pewnego razu, jako młody chłopak, usłyszałem ciekawy wykład właściciela hodowli psów w Klamovka pod Pragą, na temat psiej duszyczki. Mówił o nich jak o dobrych znajomych.

A więc starajmy się psy zrozumieć, bądźmy ich przyjaciółmi, a wtedy wywdzięczą się nam one napewno wesołem szczekaniem, wiernem spojrzeniem, lub przynajmniej... machaniem ogona!

J. G. M.







U góry: piękny owczarek „Boy", wł. p. Margulies'a z Katowic, zajął w konkursie „Pies-towarzysz" jedno z pierwszych miejsc. Fot. Datka, Katowice.
W środku: Airedale-terrier „Car", wł. p. Lamli z Knurowa, otrzymał nagrodę hodowlaną. Fot. Star, Katowice.
U dołu: Chiński szpic „Chow-Chow", trzyletni „Pinx" wł. konsula szwedzkiego p. Mauve'go, został odznaczony nagrodą hodowlaną. Fot. Datka, Katowice.

HALLO! HALLO!

Transmisja radjofoniczna dla Czytelników „Asa".

Hallo — hallo — tu rozgłośnia „Asa". Pragnąc przyjść z pomocą szerokim masom młodzieży, nadajemy skrót dziejów ojczystych. A więc uwaga! Mieszko I popełnia mezaljans„ żeniąc się z Dąbrówką, z pochodzenia Czeszką. Błąd ten naprawia później minister Beck, nie pozwalając naszej drużynie na rozegranie meczu z Czechosłowacją. Bolesław Chrobry prowadził mądrą i przewidującą politykę, zawierając pierwszy pakt nieagresji z Niemcami. Władysław Herman, ulegając wpływom partyjnictwa, dzieli państwo na drobniutkie części. Król Władysław Łokietek, zwany tak, gdyż nieznano jeszcze wówczas w Polsce systemu metrycznego — mieszka w grotach pod Krakowem i walczy z Krzyżakami. Król Kazimierz Wielki sprowadził żydów do Polski i stworzył statut wiślicki. Błędy statutu wiślickiego zostały już naprawiono przez nową konstytucję. Innych błędów Kazimierza Wielkiego dotychczas nie naprawiono. Budował on elewatory zbożowe, uprawiając fałszywą politykę rolną na niekorzyść wielkiego przemysłu, który wskutek tego nie mógł się wówczas rozwinąć. Władysław Jagiełło, ożeniony z rozsądku z Jadwigą, bije Krzyżaków pod Grunwaldem — sprzymierzywszy się z naszym odwiecznym wrogiem Litwą. Błąd ten naprawiliśmy dopiero obecnie, zawierając pakt nieagresji z Niemcami. Zygmunt Stary, ożeniony z królową Boną, która już umarła — toruje Włochom drogę do ekspansji na Wschód. — Henryk Walezy źle się czuje w polskim klimacie, podobnie jak premjer Laval — i bawi w Polsce tylko w przejeździe.

Król Jan Sobieski zwycięża pod Wiedniem, zdobywając obóz turecki, namiot i kawę turecką. Owocem tego zwycięstwa jest założenie pierwszej polskiej kawiarni w Wiedniu. — Zwycięstwo nasze pod Wiedniem wyzyskało MSZ — zawierając w trzy wieki później traktat handlowy z Austrją. — Resztę swego życia spędził król Sobieski na prowadzeniu złej polityki za namową swej żony Francuzki oraz na sadzeniu drzewek. Błędy polityki Sobieskiego naprawiło nasze MSZ, które prowadzi politykę samodzielną, nie ulegającą wpływom niczyich żon. Król Stanisław August Poniatowski był zwolennikiem paktu wschodniego — wskutek czego wojska sąsiadów przemaszerowywały swobodnie przez nasze terytorjum. Błędy polityki króla Stanisława Augusta naprawił minister Beck, sprzeciwiając się ostro paktowi wschodniemu.

Za czasów księstwa warszawskiego prowadziliśmy zgubną politykę przyjaźni z Francuzami. Za czasów królestwa Kongresowego prowadziliśmy znakomitą politykę gospodarczą. Znakomitą gospodarkę Lubeckiego kontynuuje min. Zawadzki. W powstaniu listopadowem popełniliśmy wiele błędów, które następnie naprawiło naczelne dowództwo armji w wojnie polsko-bolszewickiej.

* * *

Hallo — skończyliśmy nadawanie skrótu dziejów ojczystych. Teraz nadamy lekcję nauki o Polsce współczesnej.

Polska współczesna posiada silny rząd i takąż walutę oraz podobną ordynację wyborczą. Niektórzy z mieszkańców kraju mają prawo wyborcze do senatu.

W Polsce każdy obywatel ma bezwzględną swobodę myśli. — Niestety niewiele osób korzysta z tej swobody. Wiele osób nie korzysta również ze swobody słowa pisanego, gdyż nie umie pisać.

Przemysł znajduje się w rozkwicie i dlatego mamy dużo rycerzy przemysłu. Wywóz nasz niestety coraz bardziej spada. Nawet Argentyna nie chce już kupować u nas białych niewolnic.

Budżet państwa jest zrównoważony, podobnie jak nasza polityka zagraniczna, opierająca się na starem przysłowiu: „Niemiec—Polak dwa bratanki".

MIKROFON.

Szczawnica „egzotyczna"



Zdawałoby się, że zdjęcie obok zamieszczone przedstawia jakąś egzotyczną krainę, jak o tem świadczą palmy i bogata roślinność, bujnie pokrywająca całą okolicę. W rzeczywistości zaś zdjęcie pochodzi z najbliższych okolic jednego z najpiękniejszych zdrojów polskich, a mianowicie ze Szczawnicy. Na zdjęciu widzimy fragment parku zdrojowego, a w głębi malownicze wzgórze Bryjarki. Cały szereg podobnych wzgórz otacza dookoła Szczawnicę, składając się na całość wyjątkowego wprost krajobrazu. Pozatem wzgórza te tworzą rozległą kotlinę i działają ochronnie przed wiatrami tak, że Szczawnica ma równy i spokojny klimat, będący prawdziwym skarbem leczniczym tej miejscowości obok szeregu innych naturalnych czynników, jakiemi są różnorodne tutejsze wody kruszcowe.

Czy zbiera pan znaczki pocztowe?...



„Rarytasy" filatelistyczne: 1) U. S. A. (180 marek), 2) Francja (100 M.), 3) Finlandja (100 M.), 4) Anglja (100 M.), 5) Austrja (100 M.), 6) Polska (75 M.). 7) Belgja (300 M.). 8) U. S. A. (80 M.), 9) Szwajcarja (150 M.) — Wartość katalogowa nie jest bynajmniej rzeczywistą. Wynosi ona od 40 groszy do 1 złotego za jedną Rmk.

Fot. „As".

Dlaczego pan zbiera znaczki pocztowe? Takie oto pytania zadaje mi większość znajomych, ale wobec tego, iż nie jestem skłonny do prowadzenia dłuższej dyskusji na powyższy temat, odpowiadam pytaniem na pytanie: „A dlaczego pan pali papierosy?" albo: „A dlaczego pan musi być dwa razy w tygodniu w kinie?" itp. Na to otrzymuję odpowiedź:

„Bo mnie to sprawia przyjemność".

Otóż i filatelistyka, nie będąca sama w sobie koniecznością życiową daje zbieraczom niemało zadowolenia i przyjemności, która jest dla laików niebardzo zrozumiała; ale postaram się to pokrótce w niniejszym feljetonie wyjaśnić.

Zaczyna się ta „namiętność" prawie zawsze w dzieciństwie i zależnie od wytrwałości, ilości wolnego czasu i — nie na ostatku — środków finansowych, trwa często aż do... „grobowej deski". Dziesięcioletni chłopiec nie posiada się z radości, jeżeli może zdobyć malutki kawałeczek papieru i pochwalić się przed kolegą: „wiesz — mam Guatemalę z papugą", na co odpowiada zazdrosny rywal: „a ja kupiłem za 10 groszy Jamajkę z wodospadem"; trzeci filatelista zapędza ich jednak w „kozi róg", mówiąc z dumą: „ale ja dostałem trójkątną Liberję z wężem". Zaczyna się od menażerji, roślin, wodospadów, widoków, aeroplanów, szachów perskich, a kończy się na poważnem kolekcjonerstwie, artystycznem układaniu kompletów znaczków całych państw, fachowem badaniu najrozmaitszych rodzajów druku, prowadzeniu korespondencji z całym cywilizowanym i niecywilizowanym światem.

Naturalnie, że zbieranie znaczków przynosi więcej praktycznych korzyści młodocianym filatelistom i jeżeli nie poświęcają oni na ten cel czasu, przeznaczonego na naukę, łączą rzeczywiście przyjemne z pożytecznem. Przedewszystkiem w znajomości geografji nikt zbieracza marek nie pobije, a napewno gdyby Polska wydawała od początku tak starannie wykończone znaczki, jak obecnie i gdyby nasze stemple pocztowe nie były (niestety!) często podobne do kleksów, zwiększyłoby się zainteresowanie naszym krajem u zagranicznych filatelistów. Historja czasów najnowszych od 1840 r., kiedy to w Anglji został wydrukowany pierwszy znaczek, jest również uwidoczniona, nawet b. jasno serjami znaczków każdego państwa. Połączenie się państewek włoskich, niemieckich, przebieg i wynik wojny światowej, to fakty historyczne wiadome każdemu sprytniejszemu chłopcu-filateliście, zanim się o nich od profesora dowie. Potęga kolonjalna Anglji, Szwajcarja i Holandja jako państwa o niezwykłej stałości gospodarczej, historja lotnictwa, oto przykłady setek najróżniejszych ważnych wiadomości, które młody chłopiec nabywa, kolekcjonując nie napozór nie mówiące znaczki pocztowe.

A systematyczność i porządek, jaki się wyrabia przy naklejaniu i przechowywaniu marki? Tutaj naturalnie możnaby mieć często zastrzeżenia; ale tylko naprawdę początkujący filatelista bywa niestarannym. Powszechnie wiadomo bowiem, iż uszkodzenie lub zabrudzenie znaczka zmniejsza jego wartość do jednej czwartej, lub nawet więcej. Poznawanie obcych języków to dalsza korzyść zbieracza. Opanowuje się język obcy tylko w drobnych fragmentach: są one jednak przy rozpoczęciu nauki już zawsze ważną podstawą. Z pewnością znalazłbym i inne drobniejsze przykłady, które przekonałyby, że filatelistyka jest dla młodzieży znacznie sympatyczniejszem zajęciem, niż granie w gałki, chodzenie na zakazane filmy, a wydawanie pieniędzy na marki ma też chyba więcej sensu, niż np. wykupywanie fotografij słynnych „gwiazdorów" przez nasze gimnazjalistki.

Znacznie trudniej będzie mi jednak wytłumaczyć, dlaczego ja, jak i inni starsi zbieracze kontynuują to zajęcie w dalszym ciągu i znajdują w niem przyjemność? Przecież nie dla zyskania wiadomości z geografji, historji, poznania opanowanych już języków, wyrobienia w sobie systematyczności! Zbieranie znaczków jest celem samym w sobie. Kto jednak kolekcjonuje dla zysku i kupione tanio znaczki odsprzedaje drogo, aby pieniądze w ten sposób uzyskane obrócić na inne cele — nie jest prawdziwym filatelistą. Kolekcjonowanie przynosi amatorom tyle przyjemności, odrywa ich na chwilę, ale zupełnie, od tak często przykrego życia codziennego, pozwala im nietylko poznać, ale i zaprzyjaźnić się z ogromną ilością innych

(Dokończenie na str. 31)



Ulubione znaczki młodych filatelistów: 1) Gabun „z murzynem" (Kongo francuskie), 2) Persja „z szachem", 3) Peru „z słońcem", 4) Liberja „z wężem", 5) Guatemala „z papugą", 6) Belgja „z balonem", 7) Jamajka „z wodospadem" — (2, 3, 4, 5 i 7 wykonane niezwykle starannie jako staloryty, podobnie jak banknoty dolarowe).

Fot. „As".

I miłość zwyciężyła...

J. M. BRZESKI

NOWELA

Ilustrował A. ŻMUDA

Jan Smith wszedł do wielkiego zalanego słońcem pokoju. Oszklone drzwi, wychodzące na taras były otwarte. Ukośne, matowe pasma słońca przynosiły do wnętrza pozdrowienia jasnego poranku. Pachniały lekko różami i były ciepłe, jak przyjazne spojrzenia.

Na tarasie stół ze śniadaniem — jeden z tych zaczarowanych przedmiotów, które same zjawiają się i znikają w bogatych domach. Jan minął pokój, wszedł na taras i zasiadł do stołu. Przez chwilę spoglądał na wierzchołki drzew, kołyszące się w parku naprzeciw. Były od wschodu jaskrawo oświetlone. Wzrok Jana opadł na poziom parku, błądził po dróżkach, alejach — jakby wyczekiwał wizyty.

Smith otrząsnął się z zamyślenia. Zaczął jeść bez przekonania swój codzienny posiłek, jak ci ludzie, którzy wiedzą, że jeść go będą codzień.

— — — — — —

Kiedyś Jan starał się unormować swoje życie. Kiedy zaś to nastąpiło, zaczął czynić rozpaczliwe wysiłki, aby zburzyć porządek swego życia. — Wreszcie poddał się rygorowi, którego sam pragnął i przyjmował wszystko, co go spotkało z apatją, bez zdziwienia, bez rozpaczy, bez najmniejszego uczucia. Wiedział, że istnieje, lecz nie potrafił tego istnienia urozmaicić. Interesy, które kiedyś absorbowały go i stwarzały wkoło niego atmosferę ciągłego niepokoju i podniecenia, zostały uregulowane i przekazane zaufanym Jana. Dziś, aby zaryzykować olbrzymią fortunę, którą posiadał, trzeba było rzucić się w krąg zawsze ruchliwego pieniądza — trzeba byłoby zacząć popełniać głupstwa. Myśl o czemś podobnem zdawała się być zajmująca, jednakże zimny umysł Jana wzdragał się przed wszystkiem, co wymagało jakiegoś wysiłku. Nie był człowiekiem słabym, a jednak był odrętwiały. Skleroza nerwów kazała mu wierzyć, że nic nie potrafi odmłodzić jego umysłu.

— — — — — —

Słońce zwolna posuwało się coraz wyżej. Jan strząsnął serwetkę i rzucił ją na stół. Wziął do ręki dziennik, który pachniał drukarnią, wykrzykiwał wielkiemi czcionkami, krytykował, raz wytworny to znów żałosny opłakiwał umarłych.

Jan przerzucał kartki. Jego wyblakłe oczy błądziły po labiryntach cudzych myśli i czynów.

Lekki podmuch wiatru obudził się gdzieś w alei i zaszeleścił kartkami. Trawniki zaczynały pachnieć gorącem, rosa przepadła. Kaloryferowe ciepło, suche i antyseptyczne, napełniło park.

Gazeta wciąż tkwiła w rękach Jana. Wzrok przebiegał strony wpoprzek, stawał, pędził dalej. Wśród długiej, mdłej szpalty zaczernił i drgnął czarny jak klepsydra i spokojny jak recepta — anons. Oczy Jana spoczęły na nim, posunęły się dalej, wróciły.

„KAŻDY MOŻE PRZEŻYĆ TRAGEDJĘ, KTÓRA GO WRÓCI ŻYCIU".

Klinika dra Sachera.

— — — — — —

Droga wiła się betonową wstęgą. Słońce, jak rozkołysana lampa, świeciło coraz to z innej strony. Pagórki falowały przecinane długiemi rzędami drzew owocowych. Gumy samochodu piszczały cienko na zakrętach.

Jan rozparty w samochodzie — mierzył wzrokiem lot jaskółek. Nie starał się bynajmniej ustalić, dlaczego odbywał tę podróż. Ogłoszenie dra Sachera nie zahipnotyzowało go bynajmniej. Jako prawdziwy Amerykanin był poprostu zaciekawiony świeżością i tupetem anonsu. Z równą łatwością mógłby wybrać się w podróż na księżyc, gdyby wiedział, że odbędzie się ona wygodnie i może mu przynieść jakieś ciekawe przeżycia.

Sekretarz Jana załatwił telefonicznie kwestję przyjazdu swego szefa. Dzień przedtem pojechały koleją bagaże.

Jan dojeżdżał do celu. Wielka tablica dźwigała na skrzyżowaniach dróg czerwone nazwisko: Dr. Sacher. Samochód skręcił i skrył się w zielonym tunelu drzew, potem zaskrzypiał na białym żwirze i zatrzymał się przy kole róż — naprzeciw szklanych drzwi zakładu...

— — — — — —

— Jest pan dziesiątym miljonerem, który przyjeżdża do mnie po ratunek — rozpoczął dumnie dr. Sacher.

— Jestem pierwszym miljonerem, który w pana nie wierzy — Sacher. — Jan poprawił kolorową chusteczkę w kieszonce.

Rozmawiali w pokoju białym i czystym, jak te sale szpitalne, gdzie się najłatwiej umiera, będąc odizolowanym od mikrobów.

— ...Dlatego — ciągnął Sacher — wierzę, że pana uleczę. Zwrócę pana życiu — chełpił się doktór.

— Czy można wiedzieć, co przygotował pan dla mnie? — rozpoczął Jan.

Doktor zdawał się być zaskoczonym. Popatrzył uważnie na młodego mężczyznę, wreszcie rzekł:

— Jest pan jednym z bardzo bogatych ludzi naszego kontynentu. Przyzwyczaił się pan do swej pozycji. Nie wyobraża pan sobie życia innego, jak to, którem pan żyje. Podświadomie ma pan pewność swego bytu na pewnym poziomie... Ale proszę mi powiedzieć, coby się stało, gdyby pan naraz stracił wszystko...

— To niemożliwe — odparł spokojnie Jan.

— A jednak... Olbrzymia większość pańskiego majątku, to papiery wartościowe. Gdyby pan je stracił, lub gdyby one straciły swą wartość i stały się tylko papierami...

— W oczach Jana przepłynął cień zainteresowania. Ożywił się. Szybko wyciągnął papierośnicę...

— — — — — —

Dni mijały. Ciemna wstęga morza mieniła się za oknami zakładu, jak kameleon. Brużdżona wiatrem, gładzona ciszą, usypiana czerwienią zachodzącego słońca — chełpiła się kolorami, tryskała barwami.

Zastukano do drzwi.

— Proszę wejść — rzucił Jan.

— Jacyś panowie pragną się widzieć z panem.

Jan uśmiechnął się. Wstał, spojrzał na swoje wypielęgnowane paznokcie, podszedł do lustra i poprawił krawatkę.

— Proszę ich wprowadzić.

Dwóch panów weszło do pokoju. Jeden z nich, o przebiegłych oczach agenta, starał się pozostawać na dalszym planie. Rozmowę rozpoczął pulchny jegomość o mdłym wyrazie twarzy.

— Jestem Bros. Pozwolę sobie zauważyć, że szanowny pan opuścił miasto tak błyskawicznie...

— ...że nie mógł mnie pan tam złapać — dokończył Jan. — Czem mogę służyć?!

— Mam dla pana niezłą propozycję. Poszukuję lokaty dla mego kapitału. Chciałbym nabyć od pana większą ilość papierów wielkich stalowni.

— — — — — —

Gdy Jan znowu znalazł się sam w swym gabinecie, zdawało mu się przez chwilę, że coś w nim drgnęło, że się ożywił. Perspektywy giełdowej gorączki, ryzykownych posunięć zajęły go. Przypomniał sobie rozmowę z doktorem i zaśmiał się głośno, zamilkł jednak zaraz. Dałem się złapać temu staremu szarlatanowi — powiedział do siebie. Po chwili zaś dodał: oby mu się udała ta jego gra.

— — — — — —

Nazajutrz przywołał swego sekretarza.

— Co pan może mi powiedzieć o akcjach naszych stalowni?

Sekretarz zajrzał do notatnika.

— Poszły w górę o dwa punkty, to były notowania z dzisiejszej giełdy.

Jan zamyślił się. Coś to niebardzo wyglądało na sprawkę Sachera. Widocznie wczorajsi klienci byli autentyczni.

— Co pan myśli o sprzedaży tych akcyj? — zagadnął po chwili sekretarza.

— Te papiery w ostatnim czasie ciągle się chwieją w kursie o jakieś cztery punkty. Operując całym naszym portfelem — można zrobić niezły interes.

— — — — — —

Jan nie jadał w dużej sali restauracyjnej. Nie lubił zbytecznych słów i trudnej uprzejmości. Jego stolik znajdował się w obszernym pokoju, tuż obok sali. Odgłosy orkiestry, które tu docierały przez szklane drzwi— posiadały urok zwiędłych kwiatów.

Upłynęło kilka dni. Papiery stalowni wahały się w kursie w dalszym ciągu, a Jan nie mógł zdobyć się na operowanie niemi. Bros odwiedził znowu Jana. Siedzieli razem jedząc obiad.

— Sądzę — rozpoczął Bros, że byłoby bardzo korzystnie dla pana, gdyby mi pan odstąpił te akcje. Zapewne zdziwi pana moje natręctwo, jednak rozumie pan, że pragnę jak najszybszego ulokowania mej gotówki.

Drzwi pokoju rozwarły się. Panowie zwrócili głowy w kierunku wejścia. Na tle ciemnej portjery stała urocza osóbka, trzymając list. Była najwidoczniej zażenowana.

— Proszę, niech pani pozwoli — rzucił Jan, wstając od stołu. Czy to dla mnie?

— Dla pana Jana Smitha..

— Tak, to ja — dziękuję!...

Zjawisko znikło za drzwiami. Jan rozdarł papier. Jego giełdowy agent donosił o tendencjach zniżkowych papierów stalowni. Jan zawahał się chwilę, wreszcie powiedział głośno do Brosa:

— Sprzedaję!...

— — — — — —

Lili wróciła do swojej kabiny telefonicznej i usiadła przy słuchawkach. Załatwiła dwie rozmowy międzymiastowe, otworzyła książkę i zaczęła czytać. Po chwili jednak podniosła głowę i zamyśliła się. Przypomniała sobie scenę z wręczeniem listu jednemu z kuracjuszy.

— Jan Smith — powtórzyła w myśli.

Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że była zdenerwowana, odając telefonogram. Dlacze-

go nie potrafiła się opanować? Co ją wyprowadziło z równowagi? Czy może atmosfera przepychu, która panowała w salach hotelowych? Była zła na siebie.

— — — — — —

Jak zawsze i tego rana podano najświeższe pisma wraz ze śniadaniem. Jan wypił prędko czekoladę i zabrał się do czytania. Stwierdził, że rusza się szybciej i że wiele rzeczy zaczyna go interesować. W chwili, gdy przerzucał strony dziennika, przypomniał sobie wczorajszy telefonogram giełdowy i młodą osóbkę, która go doręczyła. Pamiętał, że ładnie wyglądała. W tej chwili jednak nie mógł sobie uprzytomnić, jakie miała włosy i oczy.

— — — — — —

W białym gabinecie panowała cisza. Przy biurku, zarzuconem papierami i książkami, siedział dr. Sacher. Przeglądał raporty dzienne kierowników zakładu. Po chwili nacisnął dzwonek.

— Proszę poprosić mojego sekretarza!

Młody człowiek, staranie wygolony, stanął przed biurkiem swego szefa.

— Proszę, niech pan siada — rzekł Sacher — i niech mi pan opowie, jak przedstawiają się sprawy Jana Smitha.

— Udało nam się zainteresować naszego klienta — rozpoczą sekretarz — obrotami giełdowemi. Pan Smith dokonał w dniu wczorajszym...

— — — — — —

Tegoż dnia Lili otrzymała drugi telefonogram dla Smitha. Zakleiła brzeg arkusza i wpisała nazwisko, datę i godzinę przyjęcia. Następnie odwróciła się, by zawołać posłańca Nie było go w pokoju. Postanowiła poczekać, po chwili jednak z wyrazem silnego postanowienia, wzięła papier — wstała.

— Oddam sama i... przekonam się co mnie wczoraj wyprowadziło z równowagi — powiedziała do siebie.

— — — — — —

Jan siedział na swym balkonie pod kolorowym parasolem. Był zaskoczony wiadomościami giełdowemi. Nie mógł zrozumieć, jakim sposobem jego agent giełdowy mógł przesłać mu tak idjotyczny raport. Nie wiedział co ma o tem wszystkiem myśleć. Nie przypuszczał, aby notatka w piśmie była fałszywa. Nie mógł też mieszać w tę historję dra Sachera.

Rozmyślania przerwał mu szmer, dochodzący z pokoju Jan podniósł oczy i zobaczył zbliżającą się do niego telefonistkę. Przyjrzał się jej — była ładnie ubrana. Włosy ciemne o nieco czerwonawym odcieniu, starannie ułożone. Oczy...

— Pukałam, ale nikt nie odpowiadał — więc weszłam. Czy nie przeszkadzam?

— Ależ nie — zaprzeczył Smith skwapliwie. Znowu wiadomość dla mnie. No, ale dlaczego pani fatyguje się sama — panno..

Lili drgnęła. Nawet nie zdążyła pomyśleć, gdy jej usta poruszyły się.

— Moje imię brzmi Lili.

— — — — — —

Telefonogram był zgoła niezrozumiały. — Agent donosił, że stalownie otrzymały olbrzymie zamówienia rządowe. Akcje znowu poszły wgórę. Agent pytał, jak Smith zapatruje się na kupno tychże papierów.

Tego wieczoru Jan jadł obiad w nastroju podnieconym. Po deserze wstał szybko i poszedł do hallu.

— Proszę zamówić dla mnie — powiedział portjerowi — motorówkę. Chcę zrobić małą wycieczkę na morze.

Doktor Sacher, który przechodził właśnie obok, uśmiechnął się.

— — — — — —

Gdy Jan mijał drewniane molo przystani zauważył na jednej z ławek pannę Lilę. Siedziała otulona w swój jasny płaszczyk. Włosy rozrzucone wiatrem dodawały jej uroku. Jan ukłonił się. Skinęła głową.

— To tutaj, panie Smith — powiedział chłopiec, w białym ubraniu i wskazał stopnie biegnące wdół do morza.

Jan przystnął. Popatrzył w stronę ławki, na której siedziała Lili. Przypatrywała się kołyszącym motorówkom i morzu. Podszedł do niej.

— Zrobi mi pani wielką przyjemność, jeżeli zgodzi się pani odbyć zemną przejażdżkę po morzu — powiedział poprostu.

Lili zaróżowiła się ze wzruszenia. Przez chwilę nie wiedziała co począć, potem wstała i bez słowa ruszyła z Janem ku białej łodzi.

— — — — — — — — —

Ryk motoru i szum wodnych rozbryzgów, mieniących się czerwono w promieniach słońca ,zdawał się upajać dziewczynę. Patrzyła na odpływające w fioletach brzegi — to znów przed siebie — na czerwone, oddychające głęboko morze.

— Dlaczego zaproponował mi pan tę wycieczkę — zapytała Smitha, nachylając się ku niemu. Czy tak smutno wyglądałam, siedząc samotnie na molo.

Jan spojrzał na jej czerwone usta, potem na jej duże, piękne oczy, przysłonięte rzęsami.

— Bo zdawało mi się, że zrobię tem pani przyjemność. A pozatem wolałem być w pani towarzystwie...

Mijali właśnie skalisty cypel czarny i wbity groźnie w rozszalałe fale, gdy sternik zapytał, czy ma zawrócić. A może dodał, minąć cypel i zatrzymać się po drugiej stronie przed hotelem. Tam można wypić niezły koktail.

— Pojedziemy do przystani hotelowej — krzyknął Jan.

— — — — — — — — —

Minęły dobre dwie godziny, gdy Smith i Lili wstali od stolika w dancingu i wyszli na przystań, pozostawiając za sobą melodyjne echa orkiestry. Gdy schodzili do łodzi, Jan wziął dziewczynę pod rękę. Przycisnęła się do niego mocno.

— — — — — — — — —

Ku przerażeniu doktora Sachera, Jan przestał wykazywać jakiekolwiek zainteresowanie dla spraw dotyczących finansów. Nie pomogły hiobowe wieści z giełdy. Papiery, stanowiące dotychczas niewzruszony fundament stanowiska Smitha, traciły z dnia na dzień na wartości. Doktór Sacher obserwował ze zdziwieniem stan ożywienia Jana. Postanowił poznać jego tryb życia.

— — — — — — — — —

A Smith zachowywał się zgoła dziwnie. Prowadził długie rozmowy telefoniczne ze swym sekretarzem w mieście. Wydawał dyspozycje. Zapowiedział swój szybki powrót i zarządził gruntowne porządki w domu.

Wieczorami Jan wychodził na spacery. Jakoś tak dziwnie się składało, że zawsze spotykał Lilę. Jeździli samochodem, odbywali niedzielne wycieczki, przygotowując w przed



dzień zapasy jedzenia w małych koszykach. Jan zachowywał się jak zwykły śmiertelnik, który zajęty pracą przez cały tydzień, ucieka na niedzielę daleko poza krąg swych codziennych trosk.

— — — — — — — — —

Była sobota. Jan ujął słuchawkę telefoniczną i połączył się z centralą. W telefonie odezwał się obcy głos kobiecy. Smith zdziwił się. Zdawało mu się, że Lili powina mieć dzisiaj dyżur.

— Czy nie ma dla mnie jakiejś wiadomości — zapytał niepewnym głosem.

— Nie, panie Smith, niczego nie było.

Jan odłożył słuchawkę. Cóż mogło się stać — myślał. Teraz, kiedy zdarzyła się ta drobna, nieprzewidziana przeszkoda w jego programie, kiedy stało się coś, co mogło sprawić mu zawód, poczuł się podrażniony. Zapalił papierosa. Dużemi krokami okrążał pokój. Znów podszedł do telefonu i zdjął słuchawkę.

— Proszę pani, czy pani wiadomo, kiedy przychodzi panna Lili? Powierzyłem jej załatwienie depeszy do mego agenta — skłamał. Jestem trochę zły, ponieważ nie mam odpowiedzi — tłumaczył niepotrzebnie.

— Nie, proszę pana. Nic nie wiem — mówił głos w słuchawce. Panna Lili powinna właśnie teraz siedzieć na moim miejscu. Nie wiem doprawdy, co się stało, że jej do tej pory niema.

Jan odłożył słuchawkę.

— — — — — — — — —

Dni mijały. Jan coraz bardziej odczuwał pustkę, jaka zapanowała wkoło niego po zniknięciu Lili. Dowiedział się, że do dyrekcji zakładu wpłynęła wiadomość o chorobie telefonistki. Był zły, że nie zawiadomiła go o tem kartką. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że nie miał prawa irytować się z tego powodu. Nigdy nie powiedział Lili nic takiego, coby upoważniało dziewczynę do interesowania go swoją osobą.

W miarę jak czas mijał, Smith coraz silniej uświadamiał sobie, że ta mała obchodzi go bardzo — coraz bardziej. Jego uczucia krystalizowały się. Wreszcie postanowił, że pojedzie do chorej — powie jej, że chce ją zabrać ze sobą do miasta, jako swoją żonę.

Przechodząc przez hall wydał dyspozycję portjerowi, by przygotowano jego samochód. Następnie udał się do gabinetu Sachera, aby zabrać adres Lili.

Sekretarz wprowadził Smitha do gabinetu dyrektora i poprosił, by chwilę zaczekał. Jan przerzucał niecierpliwie kartki jakiegoś prospektu, gdy wszedł Sacher. Miał wyraz twarzy człowieka, który boi się pytań.

— Słyszałem o pańskich niepowodzeniach finansowych — rozpoczął z żałosną miną.

Jan zdawał się nie słyszeć, co do niego mówią.

— Poproszę pana dyrektora o adres... o adres panny Lili... Telefonistki z centrali pańskiego zakładu.

Dyrektor zdawał się być zdumiony tem pytaniem.

— Której telefonistki? — wyjąkał.

— Jej imię brzmi Lili. Pracuje w pańskiej centrali telefonicznej... Przecież nie zatrudnia pan czterdziestu panien o tem imieniu — dodał cierpko.

Dyrektor Sacher podszedł do półki, gdzie leżały różne teczki. Wyjął jedną z nich.

— Acha... Lili Irwing — powiedział — i zadzwonił na sekretarza.

— Słucham pana, dyrektorze....

— Proszę mi powiedzieć, jakie dyżury ma panna Irwing w centrali.

Sekretarz wyszedł. Po chwili wrócił z teczką. Przerzucił kilka kartek.

— Panna Irwing nie pracuje u nas od kilku dni. Przysłała list, że jest chora. Zastępuje ją panna Eting. Spodziewaliśmy się że panna Irwing powróci lada dzień do pracy. Tymczasem dziś zawiadomił nas zarząd szpitala, że wczoraj wieczór umarła na zapalenie płuc.

(Dokończenie na str. 11)

(Dokończenie ze str. 10)

Oczy Smitha błysnęły złowrogo.

— Proszę zaprzestać tej komedji — krzyknął wściekły. Żądam, aby zaniechano tego niemądrego postępowania. Proszę natychmiast o podanie jej adresu.... Po chwili zaś dodał:

— I proszę mi powiedzieć, jaką rolę przeznaczył pan. dyrektorze, tej dziewczynie w mej „tragedji".

Dyrektor i sekretarz byli zdumieni. Spoglądali na siebie, nie wiedząc, co począć.

— Ależ panie Smith — rozpoczął Sacher — zapewniam pana, że panna Irwing...

— Bez wykrętów — wrzasnął Jan. (W tej chwili nie był zupełnie podobny do tego spokojnego Smitha, który tu przyjechał przed kilku tygodniami). Jaką rolą odgrywała panna Lili w tem całem błazeństwie, w które niebacznie się wplątałem?

Sacher oprzytomniał już. Jego twarz zastygła w zimnym, obojętnym wyrazie.

— Jeszcze raz pana zapewniam, że nic nie wiem o pannie Irwing, poza tem, że była moją pracownicą. Mój sekretarz powiedział panu szczerą prawdę, o którą pan prosił.

Ręce Jana opadły. Ramiona pochyliły się.

— Zamiarem moim było — ciągnął dalej Sacher — obudzić pana do życia niepowodzeniami finansowemi. Chciałem wytrącić pana z równowagi dobrobytu. Zdawało mi się jakiś czas, że moje postępowanie daje dobre rezultaty...

— Chyba widzicie panowie — przerwał Jan — że już prawie wam wierzę. Wyprostował się i dorzucił głośno: — Ale na tem gra musi się skończyć. Proszę o adres panny Irwing. Chcę się teraz dowiedzieć, czy będę potrafił ją zdobyć dla siebie..

Sekretarz machinalnie skreślił parę słów na kartce papieru i podał ją Smithowi. Jan bez słowa opuścił pokój.

Sacher podszedł do okna. Za nim stanął sekretarz. Widzieli, jak Smith wskoczył do swojej limuzyny, która ruszyła szybko ku bramie wjazdowej.

Doktor wzruszył ramionami.

RZECZY ✶ NIEZWYKŁE





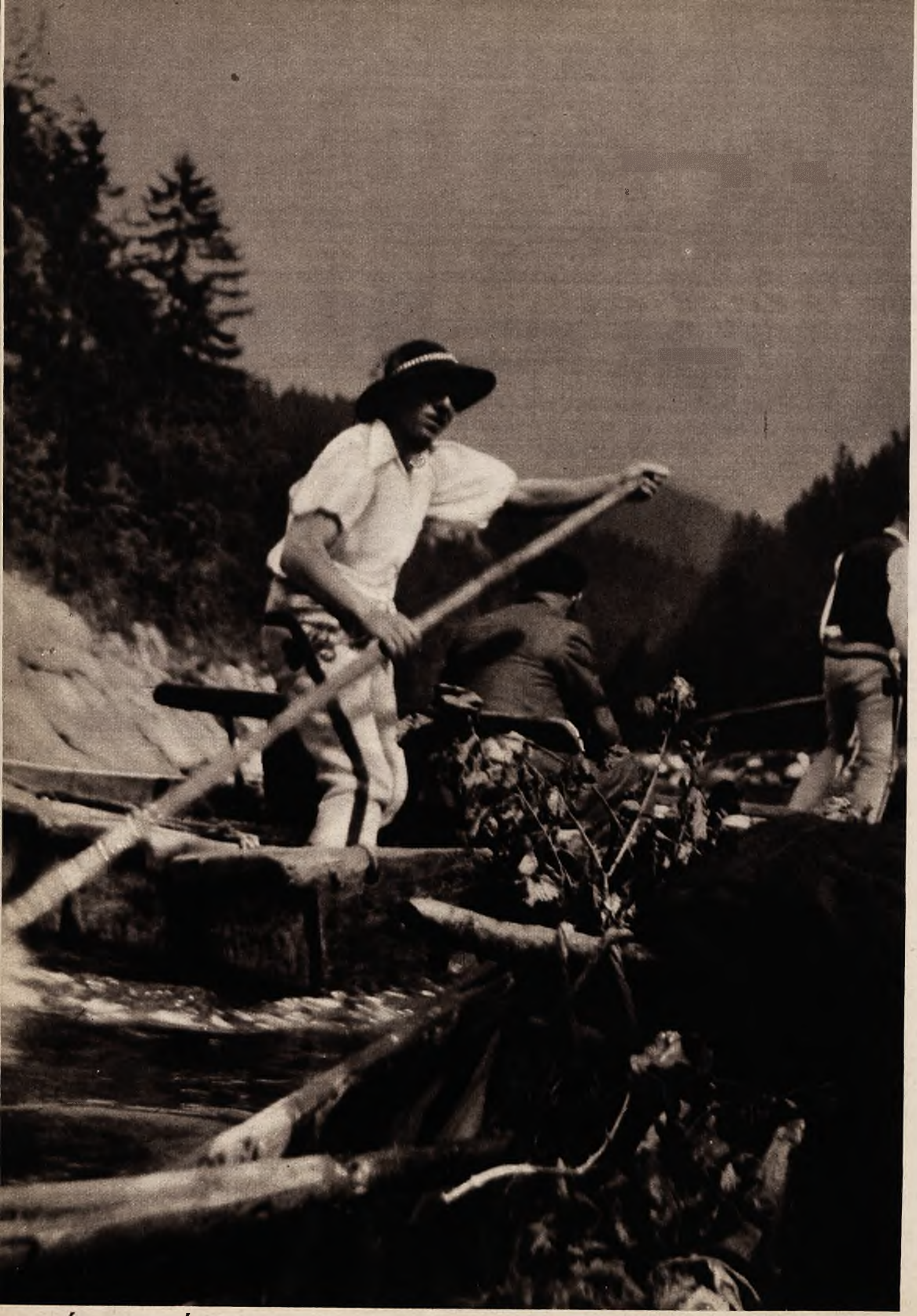
Powyżej: Z początkiem b. m. przeszły niemal nad całą Polska silne burze gradowe, które w niektórych częściach kraju wyrządziły poważne szkody wskutek opadu brył gradowych, o rozmiarach rzadko spotykanych.

Na zdjęciu park w Nienadowej, majątku hr. Mycielskich, leżący w powiecie dubieckim nad Sanem, gdzie na trawniku widoczny jest grad, wielkości kurzego jaja.

Fot. Zofja Mycielska-Nienadowa.

Na prawo: Tort wykonany przez cukierników toruńskich na dzień Święta Rzemiosła Pomorskiego, które odbyło się w Toruniu dnia 23 bm. Tort brał udział w pochodzie Rzemiosła przez miasto i zdobył pierwszą nagrodę okazów rękodzielniczych. Liczy on 1.5 mtr. wysokości i 2 mtr. średnicy, waży około 200 kg. Do wykonania jego zużyto 3000 jaj, olbrzymią ilość mąki, cukru, marcepanu i t. p.

Fot Polonia — Toruń.



DZIEŃ W GÓRACH



I NOC W MIEŚCIE... (Nowy Jork — Fot. dr. P. Wolff)

Z DUETU ANDY KITSCHMAN do „Metropolitan Opera House" w N. Jorku



Marek Windheim, artysta „Metropolitan Opera House" w Nowym Jorku, przesyła pozdrowienia Czytelnikom „Asa".



Na lewo: Windheim w roli Tomka w operze Smetany „Sprzedana narzeczona".

Fot Morton — St. Francisco.

Ameryka i Amerykanie stanowią dla Europy sferę szczególnego zainteresowania. Specjalną sensację budzą zawsze u nas wiadomości o stosunkach w amerykańskim teatrze, pełnej przepychu rewji, a zwłaszcza filmie. Przesadne, najczęściej mało mające z prawdą wspólnego informacje i opisy, obliczone są przedewszystkiem na reklamiarski efekt. Relacje wnikliwych i spostrzegawczych pisarzy i reporterów europejskich, względnie artystów stykających się ze środowiskiem amerykańskiem są tym wartościowym materjałem, w którym odnajdujemy najbardziej realny obraz. Niezwykle ciekawą jest przeto garść wrażeń i wspomnień polskiego artysty-emigranta, ktory opuściwszy kraj przed 9 laty wytrwałością, talentem i pracą dobił się za oceanem pierwszorzędnego stanowiska, przeszedłszy przedtem przez ciężkie próby i doświadczenia.

* * *

Marek Windheim, partner Andy Kitschman, bo o jego właśnie przeżyciach będzie tutaj mowa, wyjechał do Ameryki wraz z Romualdem Gierasińskim i Marją Żelską, ażeby tam w środowiskach polskiego wychodźtwa wystąpić z szeregiem programów, zawierających wiele naszych piosenek, monologów i skeczów.

Wysiadając w porcie nowojorskim Windheim nie rozporządzał bogatym słownikiem angielskim; umiał bowiem wymówić poprawnie tylko: *yes sir, Good bye i all right.*

Pierwszego wolnego wieczoru wybrał się z przyjaciółmi do kina. Nowojorski „Capitol", obliczony na kilka tysięcy widzów, z olbrzymim programem rewjowym, poprzedzającym film, wywarł na polskich artystach oszałamiające wrażenie. To był jednak dopiero początek.

Sześć tygodni tournée artystycznego po ośrodkach Polonji amerykańskiej minęło bardzo szybko. Artystów ze starego kraju przyjmowano wszędzie owacyjnie i serdecznie. Trzeba było wracać do Polski Windheim, opanowany myślą wybicia się w Ameryce, pozostał. Nie na długo starczyły zarobione w czasie tournée pieniądze, choć przedstawienia, dawane wśród wychodźtwa, cieszyły się dużem powodzeniem. Zarobione dolary rozchodziły się tem szybciej, ile że Windheim rozpoczął natychmiast po przyjeździe do Stanów systematyczne szkolenie głosu. Uczył się jednak nietylko na lekcjach u profesora śpiewu, ale i na koncertach, a przedewszystkiem na operach w „Metropolitan House". Bilety na koncerty i do opery pochłaniały oczywiście znaczne kwoty. Patrząc z niepokojem na „rozpływanie" się kapitałów, śpiewak nie ustaje w staraniach o jakikolwiek zarobek.

Jedyną dla artysty drogą do zdobycia engagement w teatrze rewjowym czy filmie jest w Ameryce agent i jego biuro. Takich agentów liczy Nowy Jork tysiące. Główne siedlisko znajduje się oczywiście na Broadwayu. Wielki gmach pod numerem 1560 t. zw. „Bond building" zajmują biura kilkuset agentów teatralnych, koncertowych i filmowych, angażujących na Stany Zjednoczone, Amerykę Płd., a nawet na Europę. Windheim schodził „Bond building" we wszystkich kierunkach, szukając pracy i zaroku Trzeba znieść wiele upokorzeń, a przedewszystkiem wykazać dużo wytrwałości. Windheim miał tę wytrwałość i nie ustępował. W biurze agenta składa artysta dane dotyczące personaljów i adres. Na wezwanie trzeba czekać tygodniami, miesiącami, a czasem wogóle nigdy ono nie nadchodzi. W „Bond building" jest kilkanaście sal do prób, z których korzystają agenci. Artysta, który wzbudzi zainteresowanie, natychmiast prowadzony jest do takiej sali, gdzie demonstruje swój talent i wyszkolenie.

Gdy pewnego dnia Windheim zjawił się poraz dwudziesty z rzędu w biurze braci Samuelsów (jest ich pięciu i każdy ma inny dział), sekretarka powiedziała mu ze współczuciem:

— Znów niczego niema dla pana. Szef jest zajęty i doprawdy nie wiem, czy znajdzie kiedyś dla pana czas. Szkoda pańskiej fatygi.

Windheim jednak, który miał bardzo dużo wolnego czasu, postanowił czekać. Nagle otworzyły się drzwi jednego z sąsiednich pokojów i Windheim zobaczył przez szparę jakąś młodą kobietę. Patrzyli na siebie, z trudnością się poznając. Wreszcie owa młoda osoba wstała i podeszła do Windheim, mówiąc:

— Gdzie ja pana widziałam?

— Ja panią napewno już gdzieś spotkałem...

— Czy pan jest emigrantem?

— Może pani to poznać po moim akcencie (było to już w rok po przybyciu do Stanów).

— Skąd więc pan pochodzi?

— Jestem z Warszawy.

— Pan Windheim? — zawołała po polsku.

— Rachelcia! — krzyknął z radością Windheim.

Rachelcia przed kilku laty była akompanjatorką w „Qui Pro Quo". Wyjechała do Ameryki z wiarą w siebie i w swój talent. Była bardzo zdolna i szybko zdobyła sobie dobre stanowisko.

— Co pan tu robi? — zapytała Rachelcia.

— Bezskutecznie usiłuję dostać się do Samuelsa.

— Co? Ten drab nie chce pana przyjąć, ja mu dam. — Rachelcia pobiegła do ga-

binetu Samuelsa i po chwili sprowadziła go do Windheima.. Żądała od agenta, ażeby znalazł dla niego jakieś engagement. Samuels, zasypany potokiem słów, uwierzył, że ma do czynienia z gwiazdorem nieprzeciętnej wielkości.

— W tej chwili naprawdę nie mam czasu, ale niech pan przyjdzie jutro.

Następnego dnia śpiewak został natychmiast przyjęty przez agenta. Po krótkiej próbie, w czasie której Windheim zaśpiewał kilka swoich najlepszych piosenek angielskich, włoskich i niemieckich, agent schwycił go za rękę i wybiegł z nim na Broadway. Każdemu spotkanemu znajomemu powtarzał:

— Widzisz tego człowieka? To jutrzejsza sława Broadway'u — a wskazując na wielką reklamę świetlną Chevaliera, dodawał: Ten jest niczem wobec niego.

Samuels zaprowadził śpiewaka za kulisy wielkiego kina „Roxy". Tam znów odbyła się próba w obecności dyrektora rewji.

— Bierzemy pana — powiedział dyrektor. Windheim był pewien, że został zaangażowany conajmniej jako główna atrakcja.

— Jest pan przyjęty do chóru — powiedział dyrektor i — będzie pan dostawał 75 dolarów tygodniowo. To było bardzo dużo, gdyż zwykły chórzysta otrzymywał tylko 40 dolarów.

Przez kilka miesięcy Windheim występował w chórze „Roxy" pod pseudonimem Vitoff. Grając w rewji kinowej artysta ani przez chwilę nie zapominał o swoim marzeniu dostania się do „Metropolitan".

Wkońcu zdołał uzyskać audycję w tej największej operze świata i to w obecności generalnego dyrektora, Gatti Cassazza. Zdając sobie z tego dobrze sprawę, że natura nie obdarzyła go wielkim głosem i że może coś osiągnąć tylko starannością i techniką wykonania partji i dobrą formą aktorską, wybrał na audycję partję Dawida z I-go aktu „Śpiewaków Norymberskich" Wagnera, która muzycznie i wokalnie jest trudną, a przytem mało efektowną. Trzeba ściśle trzymać się partytury, nie można pozwalać sobie na fermaty, można jednak zademonstrować zarówno technikę śpiewaczą, jak i grę aktorską. Kandydat na członka zespołu „Metropolitan" nietylko śpiewał partję ale i odegrał całą rolę, co nie jest nigdy praktykowane na audycjach w operze. W szereg lat później dowiedział się Windheim od sekretarza „Metropolitan", że dyrektor Gatti Cassazza powiedział wówczas o nim:

— *To jest albo warjat, albo dobry artysta.*

Rok przedtem zjawił się Windheim w poszukiwaniu zarobku w teatrze rewjowym słynnego Ziegfielda i to na skutek ogłoszenia, zamieszczonego w dziennikach. Przygotowywano tam właśnie wielką rewję pod tytułem „Trzej Muszkieterowie" i kompletowano chór. Pomocnik reżysera, dokonywując przeglądu kandydatów, zobaczył Windheima i już po chwili odsunął go, mówiąc: Pan nam nie będzie potrzebny!

— Dlaczego? zapytał śpiewak — przecież pan nawet jeszcze nie słyszał, jak ja śpiewam.

— Proszę odejść — powtórzył pomocnik reżysera.

— Ja przeszedłem pół miasta na wezwanie, zawarte w ogłoszeniu, a pan nawet nie pozwala mi spróbować. Dlaczego?

— Pan jest dla nas za „krótki" — odpowiedziano. Chór bowiem składał się z grupy mieszczan i grupy muszkieterów. Mieszczanie byli już skompletowani, a na muszkieterów angażowano tylko chórzystów wysokiego wzrostu (Windheim ma wzrost niski). Ta bezceremonjalność wytrąciła śpiewaka z równowagi. Wtedy odezwał się siedzący na widowni we wspaniałem futrze i kapeluszu Ziegfield.

— Dlaczego nie usunięto jeszcze tego bezczelnego gościa?

— Jestem wprawdzie bardzo zmęczony — powiedział Windheim — nogi mnie bolą, ale mam jeszcze dość sił, by wyjść bez pomocy.

I na tym incydencie skończył się jego kontakt z rewją amerykańską.

Zaproszony niedawno temu przez przyjaciela, znanego aktora filmowego, Edwarda G. Robinsona, spędził Windheim kilka tygodni w Hollywood. Pewnego wieczoru zetknął się na obiedzie w domu przyjaciela z właścicielem i dyrektorem wielkiej wytwórni filmowej „Columbia", Harry Cohenem. Z jego wytwórni wyszedł znany również i w Polsce film pod tytułem „Idziemy ku szczęściu" z Grace Moore w roli głównej. Gdy film już był gotów i miał być wypuszczony na rynek, dyrekcja „Columbji" miała poważne wątpliwości, czy zdobędzie on powodzenie. Zaproponowano więc Grace Moore, zamiast ryczałtowego wynagrodzenia, procent od zysków. Artystka nie chciała się zgodzić, ale namówił ją mąż jej, Perera. Film miał olbrzymie powodzenie. Grace Moore zarobiła kilka razy tyle, ile wynosić miało jej wynagrodzenie ryczałtowe. Cohen oczywiście był wściekły i zaangażował artystkę do następnego filmu za 250 tys. dolarów.

Zwiedzając następnego dnia wytwórnię, poznał Windheim Grace Moore, która brała udział w zdjęciach. Znakomita śpiewaczka, była cierpiąca i leżała na kozetce. Tymczasem w atelier gorączkowo pracowano. Artystkę zastępowała podobna do niej wzrostem i figurą statystka, t. zw. „stand in", która pozuje aż do chwili rozpoczęcia właściwych zdjęć. Taka „stand in" zarabia za cały dzień ogłupiającego statystowania w świetle rozżarzonych jupiterów 10 dol., podczas gdy gwiazda dostaje za tych samych parę godzin kilka, a nawet kilkanaście tysięcy dol.

* * *

Od dwóch tygodni Windheim bawi w Warszawie, nakręcił on dwa krótkometrażowe filmy aktualno-śpiewne. Po powrocie do Ameryki, a przed rozpoczęciem sezonu w „Metropolitan", weźmie prawdopodobnie udział w dużej komedji muzycznej. Zapytany o możliwości przeniesienia stolicy filmu amerykańskiego z Hollywood na Florydę, czy do Nowego Jorku, o czem ostatnio pisało się bardzo wiele, Windeim dał następującą odpowiedź:

— Ewentualność przeniesienia wytwórni filmowych z Hollywood powstała na tle zatargu z władzami Stanu Los Angeles, które zwiększały coraz bardziej podatki od dochodów reżyserów i gwiazd. Ubogi Stan Los Angeles oparł wkońcu cały swój budżet na wpływach z tych źródeł. Filmowcy zagrozili, że wyjadą. Jestem pewien, że obie strony dojdą wkońcu do porozumienia i że wytwórnie i gwiazdy filmowe świecić będą nadal na firmamencie cudownej Kalifornji.

W. M.



I. Słynna śpiewaczka i gwiazda filmowa Grace Moore. II. Znana subretka operetkowa Marja Żelska. III. Komik Romuald Gierasiński. IV. Wnętrze opery „Metropolitan" podczas przedstawienia. V. Kino „Roxy" w Nowym Jorku.

Z szybkością 150 mil na godzinę!



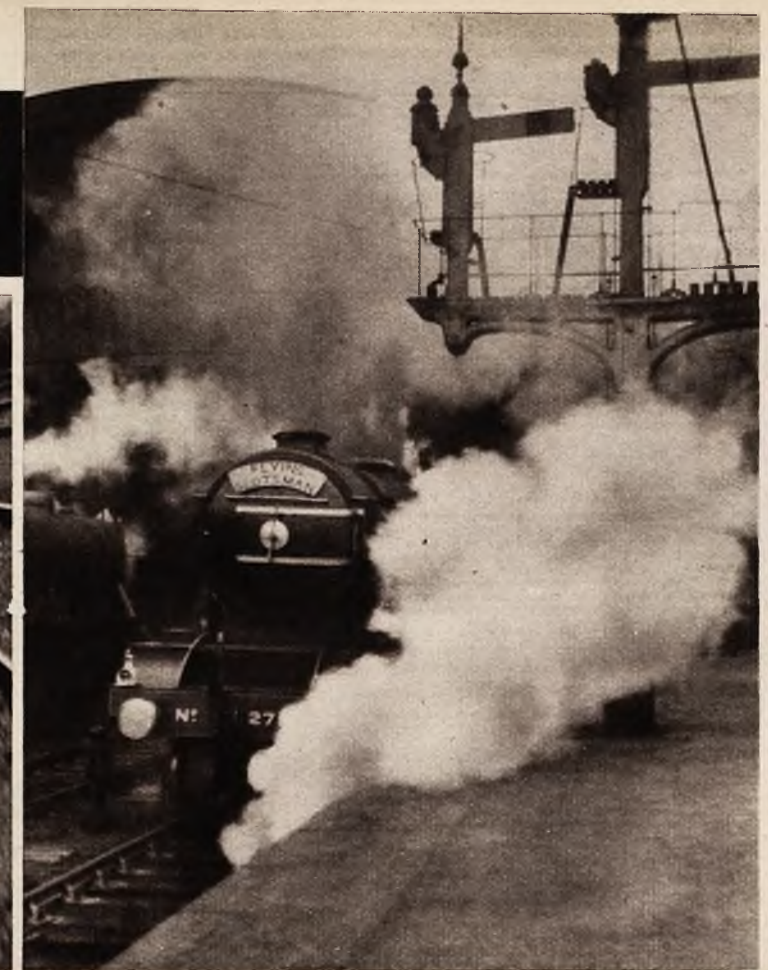
Maszynista „Latającego Szkota", H. Gutteridge, który przejechał już 400 tysięcy mil.



„Latający Szkot", z szybkością 150 ... godzinę mija pod... caster drugi poc...



...ycinek trasy, widziany na wirażu z okienka maszynisty „Latającego Szkota".



„Latający Szkot" opuszcza dworzec Waterloo w Londynie.

Tempo i komfort — oto dwa słowa, któremi w skrócie możnaby określić obecne czasy. Wprawdzie już samoloty w niektórych wypadkach wypierają kolej, która zaczyna uchodzić za „przestarzały" sposób lokomocji, mimo to jednak przejdzie chyba jeszcze sporo czasu, zanim przestanie ona być najważniejszym środkiem komunikacji.

Jak wiadomo, Anglicy odznaczają się wśród narodów bodajże największem zamiłowaniem do wszelkiego rodzaju rekordów, a równocześnie starają się życie urządzić możliwie wygodnie i komfortowo. Nic też dziwnego, że jeden z najszybszych pociągów świata przebiega właśnie w Anglji lśniące szyny kolejowe i że właśnie on wyposażony jest w największe wygody dla pasażerów. „The Flying Scotsman" („Latający Szkot") — oto nazwa tego pociągu, kursującego między King's Cross a Newcastle, rozwijającego fantastyczną szybkość 150 mil na godzinę. Serce niejako i nerwy tego szybkokołowego pociągu stanowi olbrzymia lokomotywa „Papyrus", a kierowca jej to jeden z najodpowiedzialniejszych ludzi w Anglji. Jest nim mr. H. Gutteridge, który przebył w „Latającym Szkocie" 400 tysięcy mil.

Jadąc tym pociągiem i widząc w szalonem tempie przelatujące osady ludzkie, lasy, łąki i góry, można sobie stworzyć wyobrażenie o szybkości i oszałamiającym wpływie, jaki ona wywiera na człowieka. Nie potrzeba emocjonujących filmów amerykańskich, aby doznać w takim przejeździe silnych wrażeń, chociaż oczywiście nie wolno otwierać okien ze względu na pęd powietrza, ani też, tem mniej, wychodzić na platformę. Pociąg urządzony jest wysoce komfortowo; posiada wspaniały wagon restauracyjny i szereg udogodnień dla pasażerów.

Wyjątkowe uczucia budzi w człowieku taka podróż! Czuje się on naprawdę panem świata, stwierdza naocznie postęp techniki, namacalnie czuje zbliżanie się lądów, zanikanie odległości, przezwyciężanie wielkich przeszkód. Olbrzymią zaletą pociągu jest to, że mimo swej ogromnej szybkości jedzie bardzo równo tak, że pasażerowie nie spotykają się z żadnemi przykremi wstrząsami. Drugim bardzo znanym pociągiem angielskim jest „The Golden Arrow", biegnący od brzegu południowego Anglji do Londynu; posiada on jednak znacznie mniejszą szybkość.

Ciekawem jest połączenie spokojnej systematyczności Anglików z zamiłowaniem do wszelkiego rodzaju rekordów, co zresztą da się również zauważyć na „Flying Scotsman", łączącym solidność budowy i komfort z olbrzymią szybkością.

J.



...lewo: Między szynami biegnie rynna z wodą, którą „Latający Szkot" ...iera pięciokrotnie w czasie jazdy zapomocą specjalnego urządzenia.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: M. LORANT — LONDYN.



Podczas biegu pociągu oko z trudem łapie mijanych w szalonym pędzie robotników, którzy idą sąsiednim torem... — Poniżej: Lunch, podany w przedziale I klasy.



BLASKI I CIENIE
ŻYCIA MIMI PINSON



U góry: Midinetki paryskie przygotowują kreacje mody, które wkrótce nosić będą kobiety całego świata.

Na prawo: Pracownice wielkiego magazynu paryskiego przywdziewają podczas karnawału nieraz bardzo oryginalne stroje.

O pewnej, ściśle określonej godzinie, z wielkich magazynów, bazarów, biur i tysięcznych zakładów wielkich miast wychodzą roześmiane dziewczęta, które rozmawiając ze sobą nadwyraz żywo, wsiadają prędko do tramwajów, autobusów, lub też udają się do najbliższego przystanku „metra". Scena ta, pełna żywości, zgiełku i radości życia, powtarza się regularnie codzień tak, jak regularnym jest pracowity żywot tych istot.

Panienka sklepowa, zwana nieraz „marszantką", drobna urzędniczka biurowa, panienka pracująca w magazynach mód i przygotowująca „ostatnie kreacje", stenotypistka i wkońcu tyle jeszcze innych odcieni pracującej młodej dziewczyny, oto typ zupełnie nowoczesny, typ posiadający swoiste cechy, psychologję, a będący dzisiaj już nietylko zjawiskiem życiowem, lecz zagadnieniem.

Lat temu mniejwięcej sto, słynny poeta francuski Alfred de Musset skreślił wiersz pełen uroku i świeżości p. t. „Mimi Pinson". Przedstawia on tam w kilku charakterystycznych skrótach żywot i myśli „midinetki" paryskiej, czyli pracującej dziewczyny. Opuszczając swój warsztat pracy o dwunastej w południe (midi) doczekała się tej nazwy, później zaś określenie to przybrało znaczenie osoby lekkich obyczajów i jako takie przeszło do słownika.

„Mimi Pinson est une blonde,
Une blonde que l'on connaît,
Elle n'a qu'une robe au monde
Landerirette,
Et qu'un bonnet!"
(Mimi Pinson jest blondynką, blondynką znaną w krąg,
Ma jedną tylko sukienkę,
Landerirette,
I jedną czapeczkę).

brzmią pierwsze strofki wiersza. Musset, który poza geniuszem poetyckim odznaczał się urodą i wielką elegancją, był z tego powodu bożyszczem kobiet wszelkich sfer i musiał też dobrze znać tajniki życia panienki sklepowej. Niejedna może z nich odegrała w jego życiu większą rolę. W każdym razie „midinetki" są nadwyraz charakterystyczne tak dla Paryża, jak i dla innych dużych miast.



Z chwilą powstania wielkich magazynów w Paryżu zaczął się też wyrabiać ten nowy typ młodej dziewczyny. Oczywiście, że zwłaszcza czasy powojenne przyczyniły się bardzo w tym kierunku, usamodzielniając kobietę.

Pierwszy wielki magazyn, a raczej bazar, powstaje w Paryżu w połowie XIX wieku, to jest w czasie, kiedy Francja cieszy się dobrobytem i może hołdować narodowemu bożyszczu: kobiecie. Ona nadaje ton Paryżowi, dla niej, pięknej, kapryśnej strojnisi wydają pół majątku mężowie i rujnują się kochankowie. Fatałaszki i tysiączne drobne szczegóły jej toalety nabierają znaczenia kwestji stanu. Bazar „Au Bon Marché" istniejący wtedy na rue du Bac, jest jednak jeszcze mało wykwintnym i pozostawia dużo do życzenia pod względem wyboru w towarach. Pracuje jednak w nim człowiek, który wkrótce będzie umiał stworzyć pierwsze olbrzymie magazyny paryskie, przynoszące Paryżowi sławę miasta mody kobiecej, a jemu olbrzymi majątek. Jest nim André Boucicaut, wspólnik właściciela „Au Bon Marché", Videau. Wkrótce powstają też inne bazary „Printemps" założony przez Jules Jaluzot, „Samaritaine", w którym pierwsza panna sklepowa mademoiselle Jay staje się żoną właściciela i prowadzi z wielkim gustem i kompetencją dział kobiecy, „Louvre" i wiele innych. Interesy tych bazarów idą świetnie. Jest to przecież chwila, kiedy Tuilerje i cesarzowa Eugenja nadają ton w elegancji w całym nieomal świecie. Boucicaut już w roku 1862 ma obrót 7 miljonów franków, wkrótce zakupuje cały blok domów między ulicami de Sèvres, Valpeau, du Bac i de Babylone i buduje olbrzymi magazyn, który w roku 1869 może wykazać się obrotem 21 miljonów franków.

W miarę przybywania wielkich magazynów, zastępy midinetek rosną. Ale nie zawsze rosną ich dochody, przeciwnie — utrzymują się one na skromnym po-



W dniu św. Katarzyny, będącej patronką midinetek paryskich, odbywają się biegi dziewcząt zatrudnionych w magazynach mód, podczas których startują z pudełkami do kapeluszy.







U góry: W dniu swej patronki składają jej modystki paryskie hołd ubierając kwiatami pamiątkową statuę świętej.
W środku: Jednym z punktów programu obchodu dnia św. Katarzyny jest pochód przez miasto midinetek, poubieranych w tradycyjne cylindry.
U dołu: Grupa roześmianych modystek, które wykorzystują krótką przerwę w pracy, by opowiedzieć sobie najświeższe ploteczki.

ziomie, zmuszając te dziewczęta do oszczędności i wyrzeczeń. Jednak młodość i uroda dopominają się o swe prawa: beztroskie dziewczęta nie martwią się, swem położeniem, owszem, śmieją się nawet, w wolnych chwilach opowiadają o drobnych wydarzeniach swego życia, cieszą się byle czem. Wszak dla pięknej dziewczyny sklepowej życie wielkiego miasta ma też swój urok i swoje niespodzianki. Niejedna już, podobnie jak owa słynna markiza Dubarry, która zaczęła swą „karjerę" jako modniarka, znalazła bogatego protektora i mogła porzucić swój nędzny żywot, aby zamieszkać we własnym pałacu, lub w eleganckiej willi. Poza małżeństwem jedyna to droga, jaką one wyjść mogą z kręgu trosk i błyszczącej nędzy.

Chociaż ta liczna rzesza pracownic wszelkiego rodzaju rekrutuje się z najrozmaitszych sfer, to jednak technika życia upadabnia je między sobą pod względem poglądów, psychologji i postępowania. Zwłaszcza po wojnie spotkać wśród nich można dziewczęta z najrozmaitszych środowisk: córki z t. zw. „dobrych domów", to znów dziewczyny wiejskie, panny z uniwersyteckiem wykształceniem i t. d.

Pozostawione same sobie, mieszkające zwykle zdala od rodziny i korzystające z jedynego przywileju, samodzielności i swobody, szukają one oparcia w sympatycznym, często kochanym mężczyźnie. „Narzeczeni" tacy są nieodzowni.

— Nie można przecież żyć tak samej,



bez kogoś, przed którym można się wyskarżyć, znaleźć choćby chwilową pociechę, z którym można byłoby pójść do kina, czy na dancing, lub w niedzielę wyjechać za miasto na zieloną trawkę — mówiła mi pewnego razu młoda dziewczyna, gdy się jej spytałem, czy ma narzeczonego.

Swoją drogą „narzeczeni" ci są o tyle problematyczni, że znajomość rzadko kończy się małżeństwem, a częstą zmianą na innego, lub dramatem miłosnym.

Choć za czasów Musseta „midinetki" nie chodziły do kina ani na dancing, to jednak serce kobiece nie zmieniło się ani na jotę. Nie zmieniły się też zagadnienia, które i dzisiaj są równie aktualne, jak wtedy.

Bardzo często wielkomiejska karjera panny pracującej zaczyna się wtedy, gdy zerwała z rodziną spowodu jakiegoś mniejszego, lub większego „skandalu", nieraz wprost wypędzona z domu przez złych krewnych, lub też spowodowana chęcią pójścia „własną drogą życiową". Dziewczęta te, będące bez opieki, dają się unieść prądowi, na jaki w życiu natrafią. Ciężka ich praca budzi chęć powetowania sobie tych godzin pracy na zabawie, dancingu, w lepszym lub gorszym kabarecie. Inicjatywa wychodzi zwykle od ich „chłopca", który dostarcza im drobnych rozrywek. Jest to więc jakby filigranowa łódka rzucona na przysłowiowe fale życia.

Lecz również z innego punktu widzenia pracujące te dziewczęta są zagadnieniem socjalnem. Pracując nie lżej od wielu robotników fabrycznych, nie posiadają one jednak tej organizacji co tamci, nie umieją sobie wywalczyć lepszego losu. Kontentują się okruchami szczęścia, jakich im dostarcza wielkomiejskie życie. Midinetka jest w dzisiejszym świecie bezwątpienia istotą wydziedziczoną. Wydziedziczoną z lepszej przyszłości, o którą wszystkie inne zawody się dobijają.

Wprawdzie z szeregów midinetek rekrutują się nieraz znane artystki filmowe i sceniczne i te wszystkie sławy przejściowe, które stanowią specjalność wielkomiejskiego życia, lecz, ogółem biorąc, los ich nie jest do pozazdroszczenia. — Za wesołym uśmiechem, ukazującym piękne ząbki i zaróżowioną buzię, kryją się nieraz tragedje, ciche, porywające, o których epilogu czytamy pod rubryką samobójstw czy zbrodni. — Nic też dziwnego, że właśnie one, te biedne dziewczyny, pracujące nieraz nad siły, zapełniają najliczniej wszelkie lokale rozrywkowe. — Nie mają czasu na wyspanie się, ani na spokojne zjedzenie posiłku, znajdują czas na taniec, dający im złudzenie dostatniego życia, a śmiejące się i rozbawione otoczenie ludzi je, że i one należą do tych osób, dla których świat i szczęście stoją otworem. Niedawno temu znany lekarz angielski stwierdził, że większość wypadków choroby płucnej, anemji i t. d. pochodzi u tych dziewcząt z nienormalnego i nadwyraz niezdrowego trybu życia, polegającego na ciężkiej pracy we dnie, a w nocy na zabawie i hulance.

Choć dzisiejsza Mimi Pinson nie nosi krynolin i bufiastych rękawów, lecz skromne sukienki, to jednak również i dziś w jej życiu więcej jest cieni i cierni, niż radości. **Jan Godziemba.**

U dołu na lewo: W dniu patronki midinetek odbywają się w Paryżu liczne uroczystości i zabawy, w których główną rolę grają dziewczęta sklepowe, zwane z tej okazji „Catherinettes".
Poniżej: Typ przystojnej midinetki paryskiej, skromnie a gustownie ubranej.





PSYCHOLOGJA ŚMIECHU

Napisał HAROLD LLOYD

Człowiek, na którego spada w życiu dużo nieszczęść i katastrof, może być pewny, że odniesie w filmie duży sukces. Ja sam jestem tego najlepszym dowodem. Prędko po wstąpieniu do wytwórni odkryłem, że ścieżka, wiodąca do sukcesów, jest równie kamienista, jak ta, która wykuta w skale prowadzi do Dublinu. Doznałem bowiem na niej wszelkiego rodzaju szturchańców i przykrości, które niejednego flegmatyka zmusiłyby do zupełnej rezygnacji.

Pierwszą rzeczą, jakiej musiałem się nauczyć po rozpoczęciu pracy w studjo, to umiejętność „padania". Byłem tak dalece zdecydowany zdobyć kawałek chleba codziennego we filmie, że nie przestraszały mnie nawet największe złośliwości ze strony kolegów. Zdecydowałem się nie ustępować nawet wtedy, gdy zaproszono mnie do udziału w „bumpsach" i „brodiesach".

Czem właściwie są te „bumpsy" i „brodiesy"? Postaram się to wyjaśnić tym, którzy stoją zdala od życia filmowego. Oba określenia pochodzą ze studja filmowego i określają wszelkiego rodzaju wyczyny akrobatyczne, jak skakanie, upadanie i t. d.

Człowiek, który „upada", nazywa się „bumperem". Otóż i ja byłem takim „bumperem", gdy w r. 1914 zacząłem pracować w „Keystone Company", grając rolę włoskiego handlarza owocami. Przygotowałem się do tej roli bardzo starannie. Jednak dyrektorowi nie zależało, zdaje się, zbyt wiele na tem, czy będę wyglądał jak chłop włoski, czy też jak rybak norweski. Zadanie moje można było streścić w kilku słowach: „Motocykl przejeżdża przez wózek z owocami, a właściciel jego upada w sposób nadwyraz śmieszny".

Zachodziło więc pytanie, czy będę umiał tego dokazać, czy też jestem niezdatnym do niczego aktorem. Przypadkowo filmy „Keystone Company" obejmowały całe serje takich „upadków", a reżyserzy znani byli z wielkiego znawstwa w tym kierunku. Istotnie aktorzy tej wytwórni „padali" jak nikt dotychczas.

Mój wózek na owoce był składany, to też gdy przejechał po nim motocykl rozleciał się na dwa kawałki, a owoce pofrunęły na wszystkie strony. Co do mnie, to dałem fantastycznego susa w powietrze i wylądowałem wśród pomarańcz, bananów i innych owoców na... plecach. Zobaczywszy ten wyczyn, zarówno dyrektor, jak też wszyscy ludzie, znajdujący się w studjo, bili mi brawo i przyjęli mnie do swego grona.

Fachowcy określają taki „upadek", zresztą zupełnie bez powodu, cyfrą 108. Zaczyna się on wyskoczeniem w powietrze, przyczem aktor schyla głowę, potem następuje pół salta mortale i „lądowanie" w nieprawdopodobnej pozie.

Wówczas nie zastanawiałem się nad tem, jakie komiczne elementy składają się na taki skok, wywołując śmiech u publiczności. Potem, po nakręceniu szeregu filmów doszedłem do przekonania, że ludzie śmieją się dlatego z tego rodzaju scen i wogóle znajdują coś śmiesznego w zachowaniu się komika filmowego, ponieważ odnajdują w tem wszystkiem własne słabostki i swoich znajomych, absurdalności i niedociągnięcia życia. Zdaje im się, że się śmieją z grającego aktora, a tymczasem śmieją się sami ze siebie.

Jedynym sposobem, aby zmusić ludzi do wesołości, jest być przedewszystkiem sobą, a więc nie udawać. Wiem o tem może dlatego, że przeszedłem przez całą skalę kreacyj filmowych i oberwałem nieraz silne „razy".

Przez ten czas odczuwałem w wysokim stopniu zdolność rozśmieszania innych. Musiałem być smutny, jeżeli miałem wywoływać śmiech. Interpretując role wesołe, znosiłem nieraz męki Tantala, byle tylko dobrze ją odegrać. Pokazywałem publiczności już wcześniej, to co mnie spotykało dopiero później, a ona przypatrując się otchłani, otwierającej się ze szczytu drapacza nieba i wiedząc, że za chwilę zepchną mnie w nią, śmiała się już zgóry. Bo takim jest widz kinowy.

Pytano się mnie nieraz o sposób wywoływania piorunującego wrażenia u publiczności. Równie dobrze możnaby się mnie spytać, jak głębokiem jest morze, lub ile metrów długości obejmuje wszechświat. Na takie wnikliwe pytanie zawsze odpowiadam: „To przychodzi samo z siebie. Na końcu zawsze się jakoś udaje".

Nie istnieje żadna ogólnie dająca się zastosować reguła, według której możnaby zdobyć sukces filmowy. Cała sprawa nie jest tak prostą, jakby się zdawało, gdyż to, co się podoba dzisiaj, może spotkać się jutro z niepowodzeniem. Gust publiczności ciągle się zmienia. Ludzie żądają ciągle nowych typów i tematów. Z tem wszystkiem musi się liczyć producent filmowy, a nawet uprzedzać wymagania publiczności. Najlepszym może sposobem jest ciągła zmiana typów i wprowadzanie nowych, pod warunkiem jednak, że leżą one wszystkie w kręgu życiowym publiczności. Powinny one pobudzać fantazję i nie przekraczać granicy rzeczy możliwych.

Niektórzy autorzy scenarjuszów popełniają błąd, przenosząc akcję na jakąś oddaloną wyspę i tworząc nieprawdopodobne sytuacje. Zapominają o fakcie, że znane historje, budzące sympatję otoczenia i łączące się z faktycznemi zdarzeniami, są najbardziej lubiane przez widza kinematografu. Film taki musi jedynie zawierać nieoczekiwane tricki i różne niespodzianki, jak n. p. że ktoś w najlepszem swem ubraniu wpada naraz do kałuży. Istnieje przecież tyle tragedyj różnego rodzaju, a każda indywidualna przykrość wzbudza u poszczególnych jednostek wspomnienie osobistych przejść.

W początkach mej karjery filmowej zdarzało się wiele takich wypadków, które wzbudzały wesołość u otoczenia. Można mi jednak wierzyć na słowo, że kosztowały mnie one wiele nerwów i wysiłków fizycznych, że były, razem wzięte jedną wielką dla mnie przykrością.

I może właśnie dlatego publiczność reagowała tak żywo na nie — śmiała się, nie wiedząc, że w rzeczywistości ogląda na ekranie człowieka najbardziej udręczonego.

SZEŚĆ GIRLSÓW I „ROGOWE OKULARY"...
Harold Lloyd w gronie pięknych baletnic z filmu „Koci Pazur". →



„JA LUBIĆ POLAKI"...

WSPOMNIENIA MARYNARZA.

Jasna księżycowa noc. Łagodny powiew passatu orzeźwia twarz rozpaloną tropikalnem słońcem. Z oddali przypływa ku nam zapach lądu. Lada chwila ukaże się małe nikłe światełko, które będzie mrugać do nas przyjaźnie, a potem z podnoszących się mgieł poranka wyłonią się górzyste kontury wiecznie zielonej wyspy i nowe nieznane krainy odsłonią przed nami swe cuda i tajemnice...

Srebrzysta poświata księżyca kładzie się długą szeroką smugą po rozechwianej gładzi oceanu. Fale iskrzą się miljonami tajemniczych świateł... Cisza — mącona cichym szeptem fal i klaskaniem olbrzymich płótnisk żagli — wkrada się do duszy wraz z ukojeniem w tej parnej, dyszącej namiętnością podzwrotnikowej nocy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Martynika! Nowy, nieznany świat, kuszący tajemnicą rzeczy widzianych po raz pierwszy. Wysiadamy na małem drewnianem molo i wchodzimy w całą tę południową zgraję murzynów i mulatów, z których słońce tropikalne wyssało prędkość ruchów i dało oczom wyraz dziwnego zmęczenia.

Gdzieniegdzie widać białego, kroczy dumny, majestatyczny, odcinający się od wszystkich jasnym kolorem skóry.

Błądzimy po mieście, by oczy nasycić widokiem kolonjalnego życia. Zachodzimy do małej, skromnej kawiarenki, która zresztą, jak się okazuje, jest najwykwintniejszym z „tubylczych" lokali. Zażądaliśmy rumu, który jak wiadomo cieszy się na Antylach szczególną popularnością i uchodzi tu za „symbol" cywilizacji europejskiej.

Wkrótce podeszła do nas mała, rozkosznie zgrabna murzyneczka, niosąc na tacy dużą butelkę, pełną złocistego trunku i cztery małe szklaneczki.



Religja katolicka coraz bardziej rozprzestrzenia się na czarnej wyspie, to też przy drogach znajdują się liczne kaplice, przed któremi modlą się kobiety miejscowe.

— No — popatrz! — rzekł jeden z moich towarzyszy wskazując na szczerzącą białe zęby murzynkę. — Czarna jak smoła a figurkę ma jak tancerka z kabaretu!

Wtem padł na nas jakby grom z jasnego nieba. Murzynka wdzięcznie się kłaniając rzekła po polsku:

— Ja lubić Polaki!

Spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem, graniczącem z obawą czy mocny rum antylski nie pomieszał nam w głowie.

— Ja mówić po polski, ja być w Polska — daleki zimny kraj! — ciągnęła dalej czarna dziewczyna śpiewnym melodyjnym głosem, uśmiechając się z wdziękiem.

— Co ty mówisz? — zawołał mój towarzysz, zrywając się z krzesła.

— A tak! — z odcieniem dumy odpowiedziała murzynka — ja być w Poznań, ja być na Wystawa...

— Poznań? Wystawa? Nic z tego nie rozumiem — rzekłem zwracając się do towarzyszy.

— Nigdy nie odznaczałeś się bystrością umysłu — zauważył mój przyjaciel, nalewając nową szklaneczkę rumu. — Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta czarna osóbka była w Poznaniu na Powszechnej Wystawie Krajowej. Była tam nawet jakaś wioska murzyńska, wszak sobie przypominasz?

— Tak, ja być na Wystawa — ładna miasto Poznań — zawołała murzynka, bacznie się przysłuchując wywodom mego towarzysza — ale w Poznań zimno! — dodała po chwili, składając ręce na piersiach.

Patrzyliśmy w zamyśleniu na murzyneczkę, która reprezentowała swą rasę w dalekiej chłodnej Polsce i myśli nasze z tęsknotą uleciały ku ojczyźnie, gdzie niema wprawdzie tropikalnego słońca, lecz tak pięknie pachnie żyzna ziemia i szumią stare lasy rozkołysane na wietrze...

— — — — — — — — — — — — — — —

Martynika!

U stóp wulkanu Mont-Pélé widniejącego w oddali, wznosiło się ongiś miasto St. Pierre, prześlicznie położone nad morzem w chłodnej dolinie, otoczonej górami. Kataklizm żywiołów, wybuch wulkanu i trzęsienie ziemi sprawiły, że w przeciągu 8-miu minut miasto rozsypało się w gruzy. Dziś na tych gruzach powstaje nowe miasteczko.

Autobus, prowadzony wprawną ręką szofera-mulata pędzi po drodze wijącej się w spiralach między przepaściami.

Przed oczami migają nam smukłe palmy, drzewa pomarańczowe, krzewy bananów, drzewa paprociowe i lasy splątane lianami, niemożliwe do przebycia.

Półtorej godziny jazdy i przeszło 300 wiraży! Wjeżdżamy do miasta. Dziwne miasto! Gruzy i ruiny porosłe trawą, krzakami i gajami palmowemi. Gdzieniegdzie widnieje odosobniony domek, tulący się nieśmiało do sterczącej ściany zwaliska. Ze zbocza Mont-Pélé od samego krateru spływa zakamieniała, szeroko rozlana rzeka zastygłej lawy. Tędy oto spadał ów potop ognia i zniszczenia.



Kobiety murzyńskie na wyspie Martynice, posiadają wielką zgrabność w noszeniu towarów na głowie.

Cóż za dziwne, wzruszające spotkanie! W zamarłem mieście gruzów i zwalisk poznałem przypadkowo starego księdza Francuza, którego losy rzuciły podczas wojny bolszewickiej aż do Polski. Znał osobiście księdza Skorupkę! Drżącym ze starości głosem prosił, by mu opowiedzieć, jak tam teraz jest w Polsce?

I tak, u stóp wulkanu przy cichym szmerze szeleszczących liści palmowych, gdy rzeźki podmuch passatu obejmował pieściwie strudzone żarem słonecznym głowy — po raz drugi na Martynice rozmawiałem z jej mieszkańcami o dalekiej, a sercu zawsze bliskiej — Polsce!

Jan Mrozowicki
por. marynarki handlowej.



Grupa marynarzy wszedłszy na maszty swego okrętu obserwuje zbliżający się ląd dalekiej wyspy.

KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 18 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

W czasie jego drogi przejechały dwa auta, zapełnione policjantami.

Pilnowały one szosy, a zarówno ludzie w nich siedzący, jak też broń w ich rękach gotowa była każdej chwili zwrócić się przeciwko niemu. W jednem z tych aut zauważył policjanta z Ham Street, którego powalił na ziemię. Mina jego świadczyła, iż jest zdecydowany wytropić swego pogromcę.

Ciężkie chmury zebrały się na niebie i wkońcu spadł dobroczynny deszcz. Pola, któremi przekradał się Chesham stały się jednem wielkiem bagnem. Na horyzoncie szare smugi znaczyły drogę ulewy. Od morza wiał chłód. To utwierdzało Cheshama w przekonaniu, że znajduje się już niedaleko swego celu.

Tymczasem deszcz zmusił samolot do odlotu, co wyszło Arturowi oczywiście na korzyść. Pozostawali jednak prześladowcy w autach, którzy z zapałem, godnym lepszej sprawy, tkwili na swym posterunku.

Głód w dalszym ciągu dokuczał Cheshamowi. Znalazłszy jakieś niewykopane kartofle czy buraki na polu, a nie mając nic innego pod ręką, zaczął je spożywać, zupełnie jak dziki człowiek.

Po jakimś czasie znów dało się słyszeć szczekanie psa, a wkrótce ukazał się farmer, za którym podążał jego czworonożny towarzysz. Chesham nie mógł ryzykować spotkania z przybyszem, to też padł plackiem w rowie, aby przeczekać jego przejście. Był przekonany, że nawet zwierzęta z Romney Marsh brały udział w pościgu.

Tak błądził w tę i tamtą stronę, z trudem tylko postępując na rozmokłej ziemi i nosząc na sobie resztkę wieczorowego stroju. Wkońcu stracił zupełnie orjentację, gdzie właściwie się znajduje i dokąd należy iść. Zdawało mu się, że krąży jakby w zaczarowanem jakiemś kole, ciągle po tych samych drogach. Będąc w niesamowitym nastroju, zdarzyło mu się, że przypomniał sobie dawno niesłyszane piosenki i nucił je, aby usłyszeć własny głos, który wydawał mu się czasem zupełnie obcy.

„Ciało Johna Browna już się psuje, leżąc w grobie,
Lecz dusza jego dzielnie dąży naprzód...." — nucił półgłosem.

Przy końcu tej piosenki chciało mu się serdecznie śmiać, na myśl, jakie koleje losu musi przechodzić, zostawszy poprostu zwierzyną, tropioną przez myśliwych. Uśmiech jego był jednak bolesny, a głos wyrażał głęboką rozpacz.

Wkrótce zapadła noc. Chesham, który oddawna już nie pamiętał, jak brzmią słowa modlitwy, tym razem dziękował Panu Bogu z całego serca za tę łaskę, która pozwalała mu ukrywać się przed pościgiem. Gdy około 6-tej wieczór wyszedł na pagórek, zobaczył zdaleka jakąś farmę, która zdawała się zupełnie samotną na wielkiej przestrzeni rozmokłych łąk.

Przeszedł przez mur i zbliżywszy się do domu, zajrzał do oświetlonego wnętrza. Zobaczył w pokoju jakąś kobietę w towarzystwie mężczyzny, którzy siedzieli sobie wygodnie w fotelach, niedaleko kominka, patrząc w ogień, oświetlający migotliwem światłem wnętrze pokoju. Na stole stała lampa naftowa, a światło tej padało w kręgu na otaczające przedmioty.

Z myślą, że w gospodarstwie może się znajdować jakiś złośliwy pies, Chesham poszedł w kierunku kuchni. Natrafił tam na jakieś drzwi; nacisnął klamkę i wkrótce znalazł się wewnątrz domu.

W kuchni zauważył na stole pół bochenka chleba, ukrajał sobie duży kawałek i zaczął go łapczywie jeść. Nikt go nie słyszał. Połykał chciwie swój pierwszy posiłek, nadsłuchiwał, czy nic mu nie grozi. Naraz zatrzymał się w jedzeniu i przerażenie opanowało go całego. Jakiś głos w sąsiednim pokoju, spokojny, urzędowy recytował:

— Z polecenia dyrekcji policji komunikuję drogą radjową następujące szczegóły: Pewien osobnik, oskarżony o zastrzelenie człowieka poprzedniej nocy podczas przyjęcia w ambasadzie korawiańskiej ukrywa się w okolicy Romney Marsh. Rysopis jego jest następujący: Jestto człowiek dwudziestosiedmioletni, więcej niż średniego wzrostu, o niebieskich oczach i jasnych włosach....

Chesham nadsłuchując słów, dolatujących z aparatu radjowego, nie zwrócił uwagi na to, że chcąc lepiej słyszeć postąpił w kierunku drzwi pokoju i nieopatrznym ruchem ręki strącił jakiś talerz na ziemię. Usłyszał wkrótce przestraszony okrzyk obok i naraz drzwi gwałtownie się otworzyły.

Gospodarz domu, farmer, ukazał się w drzwiach:

— Co tu się dzieje, u djabła?

Lecz Chesham już uciekł z kuchni i w tym momencie przechodził właśnie przez mur ogrodu. Słyszał jeszcze, jak farmer biegł w jego kierunku: był jednak zadaleko, aby go schwytać.

— Zastrzel go, Joe! — krzyknęła kobieta, która również wybiegła z domu.

Artur uciekł w pola; wkrótce nie mógł uczynić ani jednego kroku, tak bardzo był osłabiony. Skrył się więc w krzakach, które w swych grubych gałęziach dawały mu pewne schronienie. Deszcz ciągle padał, a farmer ze swą żoną obszukiwał najbliższą okolicę posiadłości.

— To ten, którego policja szuka — doleciało Cheshama. Najlepiej zrobisz, jeśli pójdziesz do wsi i zawiadomisz władze, że kręci się on w naszej okolicy. Ja tymczasem będę pilnowała, aby się znowu nie zakradł do domostwa.

Chesham słyszał jeszcze, jak kobieta odeszła w stronę domu, potem zapanowała zupełna cisza...

— Tak — myślał sobie — sieć, którą naokoło mnie zarzucili, zaczyna się zaciągać. Coraz mniejsze istnieją szanse ucieczki. Wkrótce pierścień zamknie się naokoło mnie i żadna siła ludzka nie wydobędzie mnie z niego.

Zachowując ciągle wszelkie środki ostrożności, Artur przesiedział do północy w krzakach. Widząc, że widocznie farmer nie zdołał zawiadomić policji, czy też ona nie kwapiła się przyjechać na miejsce, wyszedł z kryjówki, zaczął powoli rozglądać się po okolicy, uspokojony zupełną ciszą i udał się w dalszą drogę, w stronę domu, który miał mu dać pewne schronienie.

Powoli posuwał się krok za krokiem do celu.

ROZDZIAŁ XXVI.

DZIWNE SPOTKANIE.

Ucieczka Artura obfitowała jeszcze w różne inne epizody, które czyniły z niego — człowieka kulturalnego i żyjącego dotychczas w unormowanych stosunkach, — jakąś pierwotną istotę, idącą za popędem instynktu i walczącą rozpaczliwie o życie.

Naokoło panowała noc. Chesham brnąc dalej, doszedł wkońcu do jakiegoś namiotu, w którym paliło się światło. Zdawało mu się, że w dalszym ciągu słyszy głosy swych prześladowców. Nie wiedział jednak, czy dochodzą one z pól, czy też z namiotu. Był już tak zmęczony, że przestał na to zwracać uwagę. Machinalnie skierował swe kroki w stronę szarego płótna, rozpiętego na wysokim drągu.

Wszedłszy do namiotu, zobaczył postacie, które swym wyglądem zadziwiały go, mimo, iż podczas swej wędrówki przygotowany był na różnego rodzaju niespodzianki. Zastał tam bowiem kobietę-karlicę, wzrostu tak małego, że mierzyła najwyżej 3 stopy, ubrana w dziwaczną pluszową szatę, czerwonego koloru. Patrzyła na niego ze zdziwieniem, a pomarszczona jej, drobna twarz, miała jakiś niesamowity wyraz. W namiocie znajdował się również olbrzym, jakich widuje się w cyrku; mimo swego wzrostu posiadał olbrzymi garb. Poza temi dwiema postaciami siedział jeszcze na ziemi cygan, ubrany w jaskrawy strój. Biała chusta, którą miał naokoło szyi, dodawała mu jeszcze oryginalności.



...Gdy włożył już nowy strój...

— Czego pan tu szuka? — zaskrzeczała karliczka.

Artur, mimo iż bynajmniej nie był w wesołym nastroju, starał się powstrzymać gwałtowny śmiech, który ogarnął go na widok tej oryginalnej trójki. Tymczasem cygan powstał na równe nogi z ziemi, przystąpił do Artura i zaczął go silnie potrząsać za ramiona, robiąc przytem dziwne grymasy.

— Słyszy pan? Niech pan mówi, czego pan chce?

Wygląd Cheshama był tak nieszczęśliwy, ubranie jego w tak fatalnym stanie, że trójca zamieszkująca namiot zaraz się zorjentowała, iż musiał przejść niezwyczajne koleje losu. Karliczka podeszła do stołu, stojącego na środku namiotu i nalała do szklanki whisky. Napełniwszy ją brązowym płynem, podała mu, mówiąc:

— No, napij się, widać, że potrzebujesz pokrzepienia.

Artur ujął łapczywie szklankę i wypił ją duszkiem do dna. Skutek nie dał na siebie długo czekać. Czuł się pokrzepiony, krew zaczęła prędzej krążyć w jego organizmie i chociaż mu się nieco kręciło w głowie, nabrał momentalnie sił.

— Policja jest na moim tropie! — rzekł przyciszonym głosem.

Wszyscy obecni, słysząc te słowa, spojrzeli po sobie. Nie było to dla nich oczywiście nowością, że ktoś znajdował się w konflikcie z prawem. Cygan wziąwszy szklankę z rąk Cheshama, zaczął coś mruczeć pod nosem.

— Przykro nam to słyszeć, bracie. Policja i dla nas nie jest zbyt łaskawa, ale nie chcemy z nią zadzierać. Będzie najlepiej, jeżeli sobie stąd pójdziesz.

— Jakto, więc mnie wypędzacie? — zaczął błagalnym głosem Artur.

Cygan pokręcił głową.

— Tak, bracie! Jesteśmy wędrującą trupą i nie chcemy zadzierać z władzami...

— Nie dlatego, żebyśmy nie chcieli, tylko nie możemy ci pomóc... — dodał wielkolud, który odezwał się wtedy po raz pierwszy.

Wędrująca trupa cyrkowa! Artur nie miał czasu na zastanawianie się nad tem spotkaniem. Myśl, że będzie przecież musiał opuścić namiot i znów błądzić polami, narażając się na odkrycie przez policjantów, których podręczne latarki elektryczne już poprzednio zauważył, wzięła górę nad wszystkiem innem.

W chwili, gdy uzmysłowił sobie swe położenie, dało się słyszeć bliskie szczekanie psa. Chesham wzdrygnął się na całem ciele. Ten instynktowny odruch wzbudził w karliczce współczucie, gdyż spojrzała na niego zupełnie inaczej, jak poprzednio, dając do zrozumienia, że odczuwa tragizm jego sytuacji. Lecz jedynie ona zdawała się brać udział w jego męce. Wielkolud sięgnął obojętnie po flaszkę z whisky i zaczął z niej pić jednym tchem, cygan zaś włożył ręce do kieszeni i przyglądał się tej scenie.

Głowiąc się nad wyjściem z trudnej sytuacji, przypomniał sobie Artur o pieniądzach, które otrzymał od Marka Manna, gdy opuszczał jego dom w Piccadilly. Wydał wprawdzie pewną ich część na zakupienie starego auta, ale większość pozostała jeszcze w jego kieszeni. Sięgnął też ręką do ubrania i wydobył całą paczkę banknotów wraz ze srebrnemi monetami. Ruchem ręki, znamionującym gotowość poświęcenia wszystkiego celem ratowania się, rzucił ją na stół.

— Należą do was — rzekł do cygana spokojnie, — jeżeli dacie mi schronienie.

Na widok sporej paczki banknotów funtowych i monet srebrnych twarz cygana rozjaśniła się radośnie. Dawno już pewno nie widział takiej sumy zbliska.

— Ile tam jest tych pieniędzy, bracie? — zwrócił się do Artura.

— Około 70 funtów — brzmiała odpowiedź.

— 70 funtów! — powtórzyła jak echo karliczka, nie mogąc opanować wzruszenia; suknia ta była w jej oczach zawrotną.

Koło namiotu dało się znów słyszeć ujadanie psa.

— Cicho bądź! — krzyknęła karliczka na swego czworonożnego obrońcę.

— No dobrze, — zwrócił się cygan do Artura, — odpowiadając na jego propozycję. — Zrobimy, co tylko będziemy mogli.

Zamienił jeszcze kilka słów z olbrzymem w języku niezrozumiałym dla Cheshama, po których wielkolud wyszedł z namiotu.

— Schowamy pana w klatce — oświadczył cygan, który zdawał się rozkazywać swoim towarzyszom.

— Wklatce? — zdziwił się Artur, któremu się zdawało, że będąc tak bardzo wyczerpanym, nie dosłyszał słów cygana.

— On mówi, że chce z pana zrobić człowieka-małpę, — tłumaczyła krzykliwym głosem karliczka.

— Tak, jeżdżąc z jarmarku na jarmark, posiadamy klatkę, która stoi tam, za namiotem, i pokazujemy w niej człowieka-małpę. — Jest nią zwykle garbaty Jan — objaśniał przybysza cygan.

— Wchodzi on w skórę małpy i pokazuje się za jednego penny tym, którzy dają się „nabierać".

Podczas gdy cygan tłumaczył Arturowi tajniki „cyrku", w namiocie ukazał się garbaty Jan, niosąc na barkach olbrzymią włochatą skórę, zakończoną groźnie wyszczerzonym pyskiem goryla. Wszedłszy, wrzucił skórę w kąt namiotu i usiadł opodal.

— Prędko bracie, nie ma czasu do stracenia, musisz się ubrać w tę skórę.

Chesham spojrzał ze wstrętem na przyniesioną skórę, która roztaczała wokoło przykry zapach zwierzęcy. Lecz nie była to właściwa chwila do grymaszenia. Myśl zasadniczo była dobra i rokowała pełny sukces. Wyciągnął więc przed siebie ręce i pozwolił nałożyć ją na siebie, w czem pomagali mu obecna w namiocie trójca. Gdy włożył już nowy strój, karliczka spojrzała na niego z zadowoleniem uśmiechając się porozumiewawczo. W pewnej chwili, Chesham miał szczerą ochotę zrzucenia skóry i uderzenia łbem goryla swoją natrętną opiekunkę.

— Muszę ciebie teraz zamknąć w klatce — oświadczył cygan. Za chwilę może się zjawić policja.

Zanim jednak przystąpił do wykonania swego planu, zgarnął ze stołu pęk banknotów chowając je z zadowolonym uśmiechem do kieszeni. Artur poczuł naraz chęć opuszczenia tego dziwacznego towarzystwa, choćby nawet za cenę narażenia się na dalszy pościg przez policjantów i psy policyjne. Było jednak już zapóźno aby się cofnąć.

— Ale dajcie mi na Boga coś zjeść — wyrwało się Cheshamowi, który poza kawałkiem chleba i whisky nic nie miał w ostatnim czasie w ustach.

— W klatce znajdziesz banany i będziesz się mógł najeść — brzmiała odpowiedź garbatego olbrzyma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MODA

PIERWSZA REWJA MÓD W MOSKWIE

Jeszcze przed rokiem czytało się takie wrażenia naocznych świadków z Rosji sowieckiej: „Pojęcie szyku, mody, linji, wytwornych, szminkowanych kobiet, jest tu rzeczą nieznaną. Wygląda tak, jakgdyby przywędrowały tu stare ubrania z całej Europy, jakgdyby cała Moskwa zaopatrywała się w garderobę u handlarzy starzyzną... Rzecz taka, jak zarękawek, budzi podziw i... zazdrość. Tutaj żadna kobieta nie nosi zarękawka. A przydałby się z pewnością bardziej, niż w Paryżu"...

„O ile w jakimś sklepie są wystawy — „Uniwemagi" i „Mostorgi" mają liczne i duże szyby wystawowe — jest to wystawa na poziomie wystaw w Czchowie lub Zdołbunowie... Wirująca lalka w fioletowej, jedwabnej sukni, trzymająca w rękach zielony szal, to ma być szczyt elegancji i szyku..." (Wanda Kragen: Dymy nad Azją).

— — — — — — — — — — —

W klubie Dzierżyńskiego, z inicjatywy sekcji skupiającej kobiety pochodzenia zagranicznego, odbył się ostatnio w Moskwie pokaz mód.

Tatjana A. Maliouk, w słowie wstępnem przy otwarciu pokazu modeli mód, wskazała obecnym na zasady, jakie kierowały organizatorkami tego ciekawego przedsięwzięcia. W czasie, kiedy na całym świecie pokazy mód przedstawiają wspaniałe materjały, artystyczne wzory i wyszukane w elegancji modele, przeznaczone tylko dla kobiet zamożnych, kobiety sowieckie zastosowują prawidła mody przedewszystkiem do ubiorów, przeznaczonych dla kobiet pracujących zawodowo. — Dom modeli, który pokaz zorganizował, istnieje dopiero od stycznia bieżącego roku. W tym krótkim czasie stworzono już ponad 400 modeli. Zatrudnia on 55 pracownic, w tem trzy wybitne artystki: Makarową, Dosse i Laminę. Po przeniesieniu magazynu do nowego, większego lokalu, ilość pracujących zostanie znacznie powiększona.



Model wizytowy z rewji mód w Moskwie.

Główną część pokazu mody stanowiły wedle zapowiedzi ubiory kobiet pracujących zawodowo i stroje sportowe. Przyświeca im idea jak największej praktyczności tak w kierunku spokojnych barw i deseni, łatwych do prania, jakoteż kroju, pozwalającego na wykonywanie wszelkich ruchów bez żadnej trudności.

Obok modelek w odzieży zawodowej zjawiły się manekiny w strojach wizytowych i wieczorowych, które stały się prawdziwą sensacją wieczoru. Cały pokaz był równocześnie pokazem własnej produkcji tekstylnej — od lnu do jedwabiu — opartej w każdym calu na pracy wyłącznie sowieckiej.

— — — — — — — — —

Trudno oprzeć się tu wyrażeniu refleksji, że pochód kultury świata idzie jednak stale i nieustępliwie naprzód, choćby pewne okresy dziejów wysiliły się specjalnie na zniszczenie wszelkiego poprzedniego dorobku. Na gruzach zburzonych wartości rodzi się życie nowe, nawiązujące nieomylnie swój rozwój do tego co stworzyła przeszłość.

Na przykładzie choćby tylko tego właśnie pokazu mód w Moskwie znajdujemy potwierdzenie starych praw, jakim ludzkość, chcąc nie chcąc, ulega i ulegać musi, spełniając swój wytyczny cel. *Elwira.*





Studentki Instytutu Kultury Fizycznej w Moskwie w najnowszych kostjumach sportowych.

Na lewo: Tatjana Maliouk ukazuje modele sukien wieczorowych na rewji

M. M. DUDREWICZOWA



ZROBIĘ TO SAMA...

SERWETA ✶ SZYDEŁKOWA.

Szydełko, tak bardzo u nas rozpowszechnione i często pogardzane, wysunęło się na pierwszy plan panującej obecnie mody koronkarskiej. Musimy mu więc wynagrodzić krzywdę i otoczyć je prawdziwą życzliwością.

Gdy wzór ładny, a dobór koloru i materjału stosowny, przedstawiają się koronki szydełkowe bardzo efektownie.

Moda gloryfikuje dzisiaj grube koronki szydełkowe i igiełkowe, a ponieważ jedwab i kordonek w dużych motkach, w rozmaitych subtelnych kolorach, wyrobu łódzkiego, jest wcale tani, można własnoręcznie robić modne serwety, serwetki, motywy do firanek itd. małym wysiłkiem i kosztem.

Zaczniemy od rzeczy łatwych, których technikę wykonania przeprowadzimy metodycznie. Dziś przystępujemy do objaśnienia reprodukowanej obok na zdjęciach okrągłej serwety szydełkowej.

Przypatrzmy się dokładnie wykończonej serwetce, następnie zaś środkowemu kółku i koronce. Te dwa motywy przedstawione są osobno, dla łatwiejszego ich odrobienia.

Słupki w serwetkach robią się 2—3—4 — a nawet 5 razy nawijane. Na naszym wzorze słupki w kółku są 2 razy nawijane, a słupki w trzech rzędach nad kółkiem 3 razy nawijane. Słupki w koronce są trojakie: niskie, raz nawijane i 2 razy nawijane.

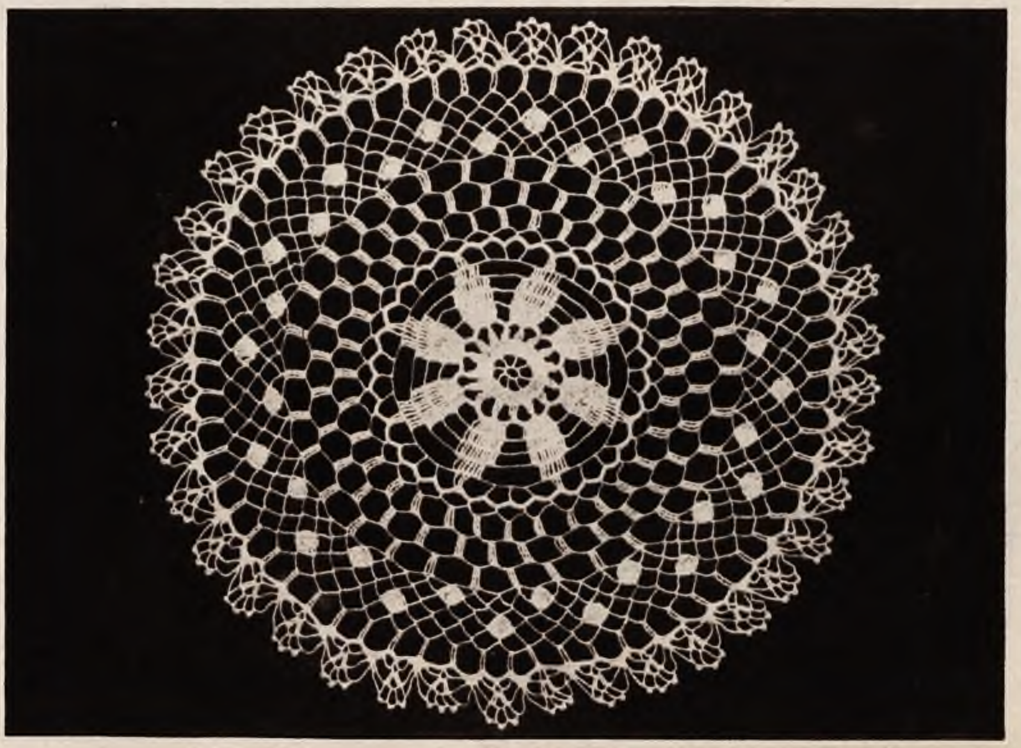
Zaczynamy szydełkować:

Maleńkie kółeczko w samym środku zawiera 7 oczek, które zamykamy niskim, nienawijanym słupkiem. Następnie robimy znowu 7 oczek w powietrzu i słupek 2 razy nawijany, który wkładamy nie w oczko, tylko odrazu w kółko. Teraz pytanie, dlaczego zrobiliśmy aż 7 oczek na tę dziurkę. Odpowiedź łatwa — 3 oczka liczymy na pierwszą dziurkę w kółku, a 4 oczka zastępują pierwszy słupek. Następnie robimy 3 oczka w powietrzu i znowu słupek 2 razy nawijany i tak naokoło, aż stworzymy 8 dziurek. Ostatnią dziurkę zamykamy także niskim, nienawijanym słupkiem, wkładając go w czwarte oczko. Mamy więc znowu zamknięte kółko.

Teraz robimy 4 oczka w powietrzu, które zastępują pierwszy słupek już w trzecim rzędzie a w pierwszej dziurce. Obok niego szydełkujemy w tej samej dziurce jeszcze 5 słupków. Będzie więc w dziurce 6 słupków, a siódmy słupek robimy już na słupku dolnym. To samo powtarzamy w następnych dziurkach. Gdy już wszystkie dziurki wypełnimy słupkami, wtedy zamykamy kółko małym, nienawijanym słupkiem, wbijając go u góry nie w oczko, ale w otworek między pierwszym słupkiem, a łańcuszkiem z 4. oczek. Dlaczego nie wkładamy szydełka w oczko u góry tylko w otwór? Otóż dlatego, by robota sama swobodnie się układała.

Po zrobieniu każdego rzędu, należy położyć robotę na stole, czy na jakiejś gładkiej płaszczyźnie, wyciągnąć palcami do góry i na boki i na wszystkie strony, a robota powinna ułożyć się gładko. Nie może się ani falować, ani nie może być ściągnięta. Zdarza się, że materjał, z którego szydełkujemy, płata nam figle i nie układa się należycie. W takich razach przy każdorazowem oglądaniu roboty potrzeba dodać albo jedno oczko więcej w dziurkach lub jeden słupek mniej lub więcej zrobić. Objaśniamy bardzo szczegółowo rozmaite tajemnice techniczne, by Miłym Czytelniczkom robota od pierwszej chwili ładnie się rozwijała.

Wyszydełkowałyśmy już trzy rzędy W czwartym rzędzie widzimy 16 potrójnych słupków u góry ściągniętych. Rząd ten zaczynamy od 5. oczek i słupka. Ale słupka nie wolno wykończyć całkiem, tylko dwa oczka mają zostać na szydełku, a trzeci słupek robimy w ten sposób, że ostatnie trzy oczka przeciągamy odrazu.



Okrągła serwetka szydełkowa, wykonana z grubego kordonku lub jedwabiu.

Przy robocie wogóle jakichkolwiek słupków przeciągamy szydełko, po nabraniu bawełny, zawsze tylko przez dwa oczka.

Między temi potrójnemi słupkami robimy 5 oczek na dziurki. Zamyka się koło w ten sam sposób, jak poprzednio, robiąc niski nienawijany słupek u góry, między łańcuszkiem a pierwszym słupkiem.

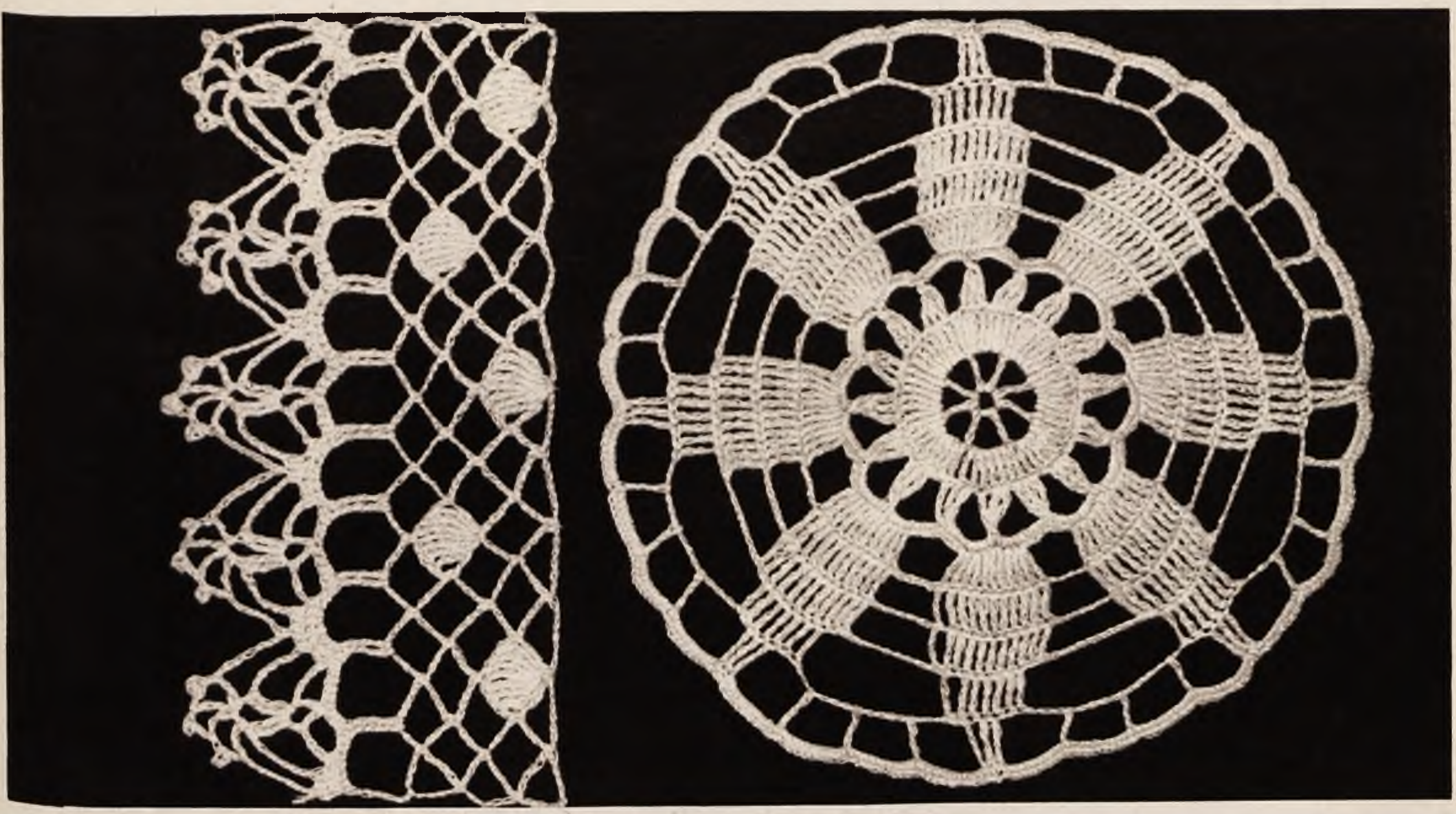
Następne koło wypełniamy samemi niskiemi, nienawijanemi słupkami. W każdej dziurce szydełkujemy 8 takich niskich słupków. A na potrójnych słupkach ściągniętych nic się nie robi, tylko przechodzi się do następnej dziurki. W ten sposób dziurki dostaną kształt wygiętych do góry ząbków. Ażeby zamknąć to koło o niskich słupkach, łączymy ostatni słupek z pierwszym, wbijając szydełko w pierwszy słupek, i tak naokoło. Wkońcu zamykamy koło niskim słupkiem. Następny rządek będzie miał naturalnie większy obwód. Zrobimy więc dziurki o 7. oczkach a słupków tak samo 11.

Dalsze koło będzie znowu większe, więc dziurki należy robić o 9. oczkach — a słupków w tym rzędzie będzie także 11.

Następny rząd będzie miał słupków tylko 7, bo po dwa słupki po bokach zostawiamy wolne, a dziurki na powietrzu mają po 15 oczek.

W przedostatnim rzędzie robimy już tylko 3 słupki dwa razy nawijane, opuszczając znowu po bokach po dwa słupki, a na 15. oczkowej dziurce szydełkujemy 4 dziurki o 6. oczkach. Słupki w tych dziurkach wkładamy nie w oczko, tylko odrazu do tej dużej dziurki, albo robimy słupki w 4., w 8. chem a drugim robimy 3 ząbki napowietrzne o 9. oczkach. Nad pierwszym rzędem groszków szydełkujemy cały rząd ząbków napowietrznych. A nad niemi przychodzi drugi rząd grochów i znowu same ząbki napowietrzne o 9. albo 10. oczkach. W następnym rzędzie widzimy po 2 słupki trzy razy nawijane. Między słupkami robimy dziurki o 7. oczkach, które znów w następnym rzędzie wypełniamy niskiemi 10. słupkami. I na tych słupkach szydełkujemy koronkę w trzech rzędach.

Pierwszy rząd to 7 niskich słupków, następnie 4 oczka w powietrzu i 2 słupki raz nawijane w jednem oczku, a między niemi trzy w powietrzu. Dalej znowu 7 niskich słupków i tak naokoło. Drugi rządek, to trzy słupki niskie, 5 w powietrzu i 2 słupki dwa razy nawijane, następnie 3 oczka na powietrzu



Środek serwetki i motyw koronki zewnętrznej.

a nabrawszy bawełnę na szydełko, przeciągamy ją odrazu przez słupek i przez oczko na szydełku. Takie spojenie uniewidacznia się.

Teraz musimy dostać się na środek pierwszego wygiętego ząbka. Postępujemy zupełnie tak samo, jak przy powyższem spojeniu. Wkładamy więc szydełko w następny słupek i przeciągamy bawełnę odrazu i przez słupek i przez oczko na szydełku. Robimy jeszcze to samo przez 2—3 słupki i jesteśmy na środku ząbka. Przy powyższych przeciąganiach uważać należy także, by oczko na szydełku było troszkę więcej wyciągnięte, niż zwykle. Następny rząd zaczynamy od 5. oczek w powietrzu i robimy 11 słupków, 2 razy nawijanych, na przestrzeni między dwoma środkami wygiętych ząbków. Następnie 5 oczek i znowu 11 słupków i 12. oczku. Ostatni rząd wypełniamy niskiemi słupkami po 8 w każdej dziurce, zaś na trzech wysokich słupkach robimy tylko jeden słupek niski na środkowym wysokim a tamte dwa po bokach opuszcza się. Koło w końcu spajamy, jak zwykle, niskim, tylko przeciągniętym słupkiem.

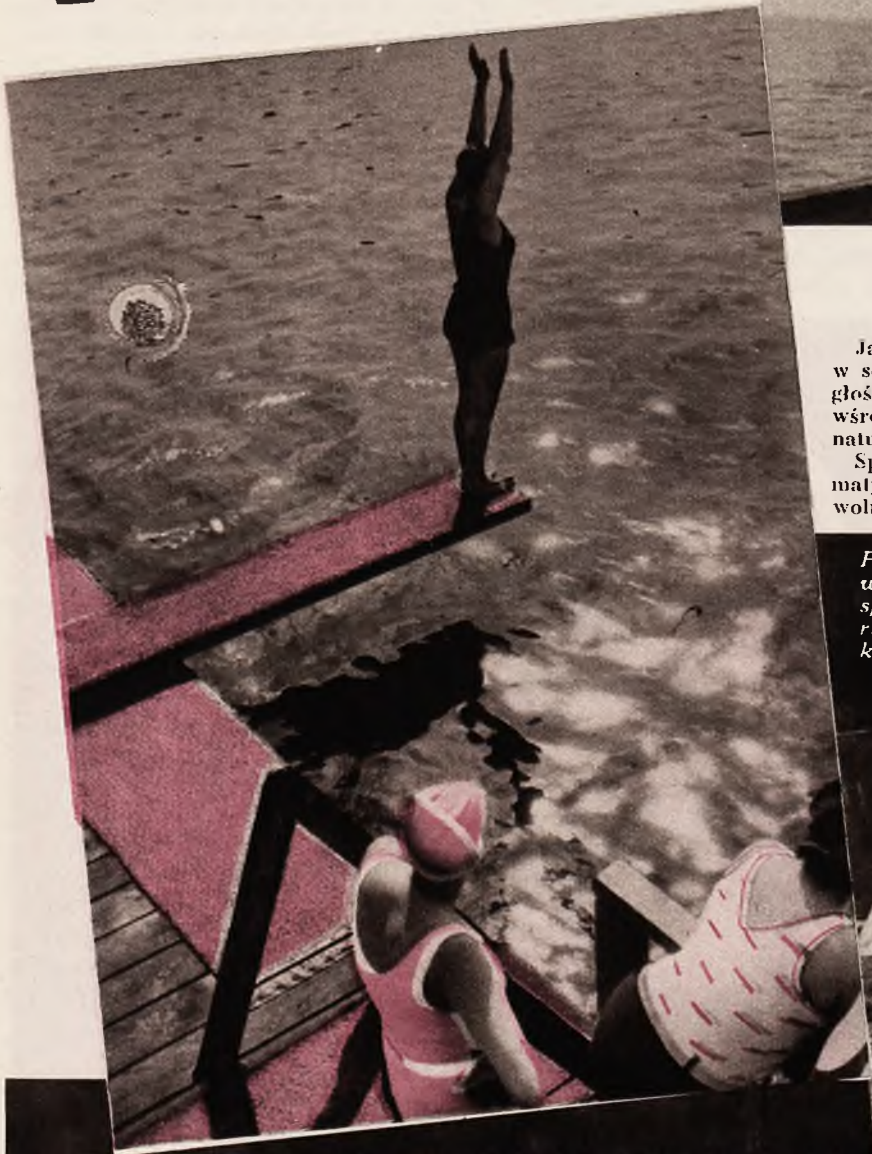
Ostatnie dziurki, wypełnione niskiemi słupkami, powinny tworzyć wygięte także ząbki ku górze. Jeżeliby 8 słupków w 6-oczkowej dziurce wydało się za mało, można robić 9, a nawet 10 słupków, zależnie jak z jakiego materjału.

Na tych niskich słupkach robimy ząbki napowietrzne o 9. oczkach. A dopiero na tych ząbkach szydełkujemy grochy w ten sposób, że w jednym niskim słupku robimy 7 słupków, trzy razy nawijanych. Między jednym grochem i znowu 2 słupki, takie same w tej samej dziurce.

Ostatni zaś rząd robimy 1 niski słupek, 7 oczek w pow. i jeden słupek dwa razy nawijany, następnie pikot i znowu słupek z pikotem. Między czterema słupkami robimy 3 pikoty. Pikoty robimy w ten sposób. Gdy mamy gotowy 2 razy nawijany słupek robimy 5 oczek i zamykamy je niskim słupkiem w pierwszem oczku; następnie raz w powietrzu i znowu słupek. Dalej 5 oczek zamknąć jak powyżej — raz w powietrzu — i słupek — i tak wokoło serwety.

Przy opisie następnej serwetki, będziemy już wyrażenia techniczne skracać. Pierwszy raz jednak opis dajemy jasny i bardzo dokładny, prosząc Miłe Czytelniczki o doniesienie nam, czy zrozumiały wszystkie określenia.

WEEK-END.



Dziś już wszystkie nasze zdrojowiska posiadają wspaniałe baseny, w których kwitnie sport pływacki.

Week-end! Można powiedzieć, że w Anglji cały tydzień człowieka pracującego lub żyjącego z kapitału, jest nastawiony na to czarowne dla niego słowo. W sobotę w południe każdy, dosłownie każdy, z gotowym planem w głowie pędzi, by w lesie, na łące lub wodzie spędzić sobotę i niedzielę.

Anglja jest wymarzonym krajem dla takich wycieczek — rzeki, koleje, wreszcie sieć dróg ułatwiają tak komunikację, że miasto pustoszeje w nieprawdopodobnie krótkim czasie, a bliższe i dalsze okolice roją się od rodzin i par campingujących na każdem wolnem miejscu.

Koleje dokazują cudów — przewożą te masy pasażerów, wzmożoną ilością pociągów, — rzeki pełne łodzi, motorówek i żaglówek. A drogi? O tych aż przykro Polakowi myśleć — sznury samochodów i motocykli ciągną za mury miasta, roznosząc we wszystkie strony świata wesołość i beztroskę ludzi, którzy myślą o wszystkiem innem, tylko nie o interesach. Przemysł angielski już dawno się dostosował do tej narodowo-anglosaskiej specjalności, jaką jest week-end. Cudowne w swej praktyczności koszyki z całą zastawą, maszynką do gotowania i t. d., improwizowane namioty, mało zajmujące miejsca, przenośne radja, gramofony, łóżka składane — wszystko dla ułatwienia campingu — pobytu na łonie natury, bez kurzu i zmartwień wielkiego miasta.

Osobny rozdział to samochody. Dla samochodziarzy specjalne firmy wytwarzają doczepki — jakby domki na kółkach, w których można spać, mieszkać i gospodarować. Domki takie, z mniejszym lub większym luksusem urządzone, pozwalają zażywać niełedwie hotelowych wygód w najbardziej odludnych stronach kraju, — czynią człowieka niezależnym zupełnie od scentralizowanych urządzeń cywilizacyjnych, jakiemi są hotele, — no i są od nich tańsze!



Wycieczka na morzu daje skołatanym nerwom idealny wypoczynek...

Jak mówiliśmy, nie do pomyślenia jest, by Anglik siedział w sobotę w domu. Minęły już czasy, gdy niedziela była dniem głośnego odczytywania Pisma Świętego. Teraz chwali się Boga wśród dzieł Jego — tak żywo do człowieka przemawiającej natury.

Spędzenie week-endu można podzielić (jeżeli się jest systematycznym) na parę kategoryj: golf, tennis i inne sporty na wolnem powietrzu. Do tego celu służą licznie rozsiane odpo-

Poniżej (od góry): Lasy nad polskiem morzem stanowią idealne tereny dla campingu. — Wielu już naszych sportsmanów spędza week-end w łodzi na wodach rzek podkarpackich. — I na plażach nie zrywa się kontaktu z wydarzeniami świata, czytając dzienniki i tygodniki...







wiedniе kluby — oczywiście wszystkie poza miastem. Tam, podczas gry w skupieniu, a podczas tradycyjnej herbaty wesoło, spędzają młodzi i starzy wolne chwile.

Warto wiedzieć, że nie ma granicy wieku dla sportu w Anglji! Widzimy młodych chłopców i panienki, grających zapamiętale obok starszych panów, którzyby u nas conajwyżej w kawiarni siedząc, nicowali ostatnie posunięcia polityki, lub poprostu podawali sobie plotki z ust do ust. Tak, — wiek i stanowisko u Anglika nie są jednoznaczne z poważnym wyglądem, poważnym oczywiście w cudzysłowie. Anglik stara się zawsze być młodym i nieraz takie robi „kawały", na jakie u nas i młodyby się nie zdobył, bojąc się, by mu „korona nie spadła z głowy".

Wesołość panuje niepodzielnie na wszystkich zebraniach, przyczem dobry ton i formy towarzyskie są zawsze zachowane.

Gentleman, to nie tylko lord, ale i robotnik.

Rzeki roją się od amatorów wodnego sportu: sznurki różnych łodzi ciągną wzdłuż Tamizy do jakiegoś ustronnego miejsca, gdzie wśród cudnych łąk o najświeższej zieleni świata i przepięknych krajobrazów, spędzają synowie Albionu beztroskie chwile.

Nadbrzeżne miejscowości, to znów cel pociągów i samochodów. Co się dzieje na popularnych plażach nad kanałem La Manche — trudno opisać. Te ilości różnokolorowych kostiumów kąpielowych, koszyki strandowe, parasole, olbrzymie kapelusze, osłaniające przed słońcem — wreszcie śmiech i radość, to rzeczywiście obraz, już sam w sobie dodający ochoty do życia.

Miejscowości takie, jak Brighton (fashionable — elegancki), zwany drugim Londynem, Scarborough, Eastbourne etc., wreszcie — głównie na wiosnę — wyspa Wight to cel wycieczki wielu, bardzo wielu amatorów słońca, powietrza i wody...

Nie można zapomnieć o motocyklach, rowerach, no i tych, którzy piechotą, z plecakiem i laską, suną jak podczas wędrówki narodów w dal po świeże wrażenia. Tych piechurów zwie się specjalnem określeniem „hickers".

Nie wszyscy, ale większość ubiera się na ten cel w zamszowe brązowe kurtki i wygodne buciki na niskich obcasach. Te ostatnie nosi się tylko wtedy, gdy cel tego wymaga, nie tak jak u nas, gdzie w Al. Ujazdowskich czy innej miejskiej promenadzie, widuje się tak zwane ubrania sportowe, noszone bez sensu i zmysłu elegancji — w mieście.

Takie wycieczki week-endowe urządzają Anglicy często grupami: np. urzędnicy całego banku czy jakiejś innej firmy lub fabryki, umawiają się i wspólnie wyruszają na wycieczkę. Jest to połączone przedewszystkiem z wielostronną oszczędnością i daje duże korzyści towarzyskie. Oczywiście widzi się wiele kobiet. Stosunek z chłopcami koleżeński, wszyscy „per ty", swoboda, ale zawsze „correct" — formy zostają zachowane, co gdzieindziej nie tak często się spotyka.

Wreszcie są i tacy, którzy z różnych powodów nie mogą wyjechać poza mury miasta. Czy ci rezygnują ze słońca i powietrza? Broń Boże! Od tego są przecież parki o cudownych trawnikach; tam wysypują się całe rodziny — rozkładają z całym dobytkiem. Dzieci bawią się, a starsi zapominają o kłopotach.

Zgroza! — powie niejeden — jakto — depczą trawniki? Zaśmiecają trawę? Oh! — Tak jest, sławny „common sense" angielski, już dawno zrozumiał, że nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa. Trawniki są na to, by ludziom uprzyjemnić życie.

Konkluzja? Sama się narzuca: dla własnego dobra wyjdźmy nareszcie równie gromadnie z murów miasta, jak Anglicy, pamiętajmy, że świat jest piękny, że kwiaty, trawa, drzewa są dla nas i na nas czekają.

Tylu-a-tylu godzinny dzień pracy, zamykanie sklepów o pewnej godzinie — pewnie że to rzecz ważna, ale że żaden z dobroczyńców społecznych jeszcze o tem nie pomyślał, żeby w sobotę w południe skończyć wszelką pracę biurową — to naprawdę nie do darowania. I to tem więcej, że żaden przedsiębiorca tu nie traci, a cały naród zyskuje na zdrowiu, kolej na pasażerach, a kraj na ruchu turystycznym.

Mówiąc o week-endzie w Polsce, chodzi nam przedewszystkiem o to, aby „psychologja angielskiej soboty" przeniknęła do najszerszych warstw społeczeństwa i aby stała się ona niejako instytucją narodową. Nie pretendujemy oczywiście do urządzania tak luksusowych imprez wycieczkowych, jak czyni się to w Anglji, lecz starajmy się o wyrobienie w najszerszych warstwach zrozumienia dla tego koniecznego u ludzi pracujących wypoczynku. Dla tylu przecież ludzi miasto jest jedynie klatką, w której przez 11 miesięcy muszą się gnieździć, odpoczywając prawdziwie jedynie w jednym miesiącu wakacyjnym. Z tych też powodów oddaliliśmy się tak dalece od natury i życia wiejskiego, że dla niejednego z nas widok krowy, owcy czy kozy stanowi niemniejszą sensację, niż oglądanie dzikich zwierząt w ogrodze zoologicznym. — A cóż dopiero powiedzieć o tych niezliczonych, tak pięknych, a tak prostych cudach natury, których pozbawieni jesteśmy w mieście! Nie jest bynajmniej przesadą, jeżeli się powie, iż człowiek, znalazłszy się w otoczeniu zielonych pól i lasów, porzuciwszy na jeden dzień lub półtora troski bieżącego dnia, staje się lepszy, szlachetniejszy, a nadewszystko nabiera optymizmu życiowego.

Jeżeli więc Anglja, która jest znacznie gęściej zaludniona od Polski może hołdować week-endowi, grać we wspaniałem otoczeniu w golfa, tenisa, uprawiać sport pływacki, koczować w namiotach, to o ileż więcej my, Polacy, możemy zastosować ten mądry zwyczaj w naszej ojczyźnie! Nie ma bowiem zakątka polskiej ziemi, gdzieby w okolicy wielkiego miasta, o które właśnie chodzi, nie znajdowały się wspaniałe jeziora, piękny teren wycieczkowy, czy też lasy o swoistym uroku. Jeżeli Wielkopolska posiada piękne jeziora, jak np. w okolicy Poznania jezioro Kierskie, to przecież Kraków poszczycić się może wspaniałą podgórską okolicą, Wilno wysoce uroczem pagórkowatem otoczeniem, lasami, jeziorami i tyloma innemi atrakcjami dla week-endu. A nawet Warszawa, położona mniej uroczo na piaskach mazowieckich, posiada również okolice godne zwiedzenia. — Jeżeli więc zdołamy zorganizować technicznie week-end dla szerokich rzesz mieszkańców miasta, to bezwątpienia nie zabraknie nam terenu, nadającego się pod każdym względem do tego celu.

Kto pierwszy wprowadzi masowy week-end do Polski, ten będzie dobroczyńcą godnym pomnika ze złota.

Dołęga



Podczas week-endu chętnie poświęcamy czas wszelkiego rodzaju sportom...



Jezioro w Kiekrzu pod Poznaniem stało się miejscem week-endowem wielu amatorów sportu żeglarskiego Wielkopolski.

Poniżej: Podczas week-endu i campingu panuje niepodzielnie płaszcz kąpielowy...



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

BUDYŃ Z SAŁATY DO GOTOWANIA. 50 dkg sałaty do gotowania, ugotowanej w słonej wodzie i z niej osączonej, przemiela się z 3. rozmoczonemi bułkami i 10. dkg o'rawków z szynki lub wędzonki. Osobno uciera się 3 żółtka z 5 dkg masła (o ile mięso tłuste bierze się mniej masła) dodaje farsz, zmielony i pianę z 3. białek oraz dwie łyżki tartej bułki. Lekko wymieszaną masę gotuje się na parze trzy kwadranse. Potrawę podaje się polaną tylko masłem rumianem lub z sosem koprowym albo innym.

KNEDEL SEROWY W SERWECIE. 50 dkg sera twarogu rozciera się z 7. dkg masła, czterema całemi jajami, małą łyżeczką soli i 8. dkg grysiku, wymięszanego z troszką proszku do pieczywa. Masa powinna stać przed gotowaniem przez dwie godziny, poczem wkłada się ją do wysmarowanej masłem serwety, zawiązuje luźno i gotuje pół godziny w słonej wodzie zawieszoną na trzonku łyżki. Knedel wyrzucony z serwety na półmisek kraje się w cienkie plastry i polewa rumianem masłem. Podaje się też dla amatorów słodkich legomin, cukier z cynamonem.

KALAREPKA Z ŚMIETANĄ. Kalarepkę pokrajaną dusi się z masłem w troszce wody i podprawia paru łyżkami śmietany roztrzepanej z łyżeczką mąki. Szczypta soli i cukru do smaku.

SOS Z SUROWYCH OGÓRKÓW. Obrany ze skórki ogórek kraje się w drobną kostkę. Zasmażkę z łyżki masła i tyleż mąki zalewa się kwaśną śmietaną, rozprowadza wodą lub rosołem, dodaje soli, pieprzu, soku cytrynowego i szczyptę cukru oraz siekanej zielonej pietruszki, wkońcu wkłada się pokrajany ogórek, zagotowuje i odstawia. Tuż przed wydaniem dodaje się łyżkę siekanego kopru.

PIEROŻKI Z PARZONEGO CIASTA Z CZEREŚNIAMI. Zagotować w rondelku szklankę wody, posolić i zasypać na gotującą się wodę 20 dkg mąki, ciągle mięszając. Ilości mąki dokładnie podać nie można, powinno się dać jej tyle, aby się utworzyło gęste ciasto, które ubijać należy przez chwilę na ogniu; następnie odstawia się, dodaje łyżkę masła i ubija dalej aż ostygnie. Teraz dodaje się jedno całe jajo i jedno żółtko i wrabia je łyżką w ciasto, aż się utworzy jednolita masa. Ciasto wykłada się na pomączoną deskę, formuje z niego wałek, kraje w kawałki i zawija w nie po 2—3 — zależnie od wielkości owocu — czereśnie. Ugotowane w słonej wodzie, posypuje się suto smażoną bułeczką, mieszaną z cukrem pudrem i polewa masłem. Stać po ugotowaniu nie powinny, dlatego należy je gotować tuż przed wydaniem.

PASZTET Z CIELĘCEJ WĄTROBY. 50 dkg wątróbki zemleć dwa razy z dwoma w mleku rozmoczonemi bułkami, dodać 2 łyżki topionego masła, soli, pieprzu — kto lubi gałki muszkatułowej lub tartej cebulki, 2 żółtka, pianę z 2. białek. Wymieszaną dokładnie masę, nakłada się do masłem suto natartego rondelka i piecze przez pół godziny lub gotuje na parze godzinę. Doskonała potrawa na ciepło lub zimno.

KALAFIOR W SOSIE. Obgotowany kalafior rozdziela się na drobne części. Z łyżki masła i mąki robi się jasną zasmażkę, zalewa ją wodą z pół kalafiora, dodaje śmietany, zagotowuje, zaprawia solą i cukrem, wkłada kalafior, który się ma w sosie tym dogotować. Podaje się w rancie z ryżu.

W podobny sposób przyprawić można szparagi.

KREM CYTRYNOWY NIEGOTOWANY. 4 żółtka, 4 kopiate łyżki cukru (około 20 dkg) uciera się do białości, dodaje sok z 2 cytryn, troszkę startej skórki, wkońcu tęgą pianę z 4 białek. Krem nakłada się do kryształowej miseczki i stawia na 2 godziny do lodu. Podaje się z biszkoptami. Na każdą dalszą osobę liczy się 1 jajko, 1 kopiatą łyżkę cukru i sok z połówki cytryny. Łatwa legomina na dni gorące.

ORZEŹWAJĄCY NAPÓJ DLA TURYSTÓW. Do czystego porcelanowego garnka wsypuje się 2 łyżeczki aromatycznej herbaty, 8—10 kostek cukru, na centimetr gruby plaster cytryny i pomarańczy, kawałek wanilji. Wszystko zalewa się pół litrem gotującej wody, przykrywa szczelnie i odstawia na 2 godziny. Ekstrakt ten rozprowadza się dalszym pół litrem wrzącej wody. Przecedzony napój może być zabierany w termosach gorący lub zimny.

Sc. Ko.

MECHANICZNA TRZEPACZKA DO PIANY.



Jednym z najczęściej w kuchni używanych przyrządów, zwłaszcza w okresie lekkich legomin, jest trzepaczka do bicia piany. Poruszana wyłącznie siłą ręki, męczy szybko, podczas gdy wprawiona w ruch przy pomocy korbki, czyni pracę lekką i miłą. Na zdjęciu najnowszy model mechanicznej trzepaczki do bicia piany.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 27 — CZERWIEC-LIPIEC — Dni 30—31
Niedziela 30 Emilji, 29 Siwan	Zupa poziomkowa z słodkiemi grzaneczkami. Szparagi w sosie śmietanowym. Młoda gąska z mizerją. Krem cytrynowy. <u>Kolacja:</u> Zimne mięso lub szynka z sosem tatarskim.
Poniedziałek 1 Teobalda, 30 Siwan	Rosół Julienne z płatkami. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym. Sznycle wiedeńskie z sałatą. Kompot z truskawek z biszkoptem. <u>Kolacja:</u> Młode ziemniaczki z kefirem.
Wtorek 2 *Nawiedz. NPM.*, 1 Tamuz	Kalafior w sosie lub zupa jarzynowa. Krokiety z móżdżku cielęcego. Befsztyk z jajem. Pierożki z czereśniami z parzonego ciasta. <u>Kolacja:</u> Poziomki z śmietaną, chleb, ser.
Środa 3 Alfreda, Anatola, 2 Tamuz	Chłodnik z czarnych jagód /borówek/ z grzankami. Knedel z sera w serwecie. Potrawka z kurczęcia z ryżem. Galaretka z truskawek. <u>Kolacja:</u> Kasza tatarczana z mlekiem.
Czwartek 4 Józefa Kal., 3 Tamuz	Krupnik na śmietanie z koprem. Budyń z sałaty do gotowania. Pasztet z cielęcej wątroby z sałatą. Mieszany kompot. <u>Kolacja:</u> Zimny pasztet z sosem szczypiórkowym.
Piatek 5 ilomeny p., Tamuz	Chłodnik z młodych buraczków. Kalafior w sosie. Pstrągi na niebiesko z młodemi ziemniaczkami. Placek kruchy z poziomkami. <u>Kolacja:</u> Kwaśne mleko z młodemi ziemniaczkami.
Sobota 6 alasza, Tamuz	Zupa cytrynowa z ryżem. Kalarepka w śmietanie. Zrazy z grzybkami i kaszką krakowską. Strudel z czereśniami. <u>Kolacja:</u> Jaja sadzone na śmietanie.

(Dokończenie ze str. 8)

w tym fachu kolegów i jest wreszcie pewniejszą lokatą kapitału, niż niejedne akcje, lub książeczki oszczędnościowe (jak się to u wielu moich znajomych zdarzyło!). Naturalnie ciężko wytłumaczyć laikowi, dlaczego wydaje się grube pieniądze na „kawałeczek papieru"; wypływa to już właśnie z ducha kolekcjonerstwa. Na pytanie, dlaczego za tę markę płaci się np. sto złotych, kiedy taką samą zrobi litograf lub rytownik za dziesięć, odpowiedzieć można również pytaniem: „A dlaczego za brylant płaci się 1000 razy tyle co za szkło, które się tak samo świeci?"

Jak wyżej wspomniałem, Anglja wydała pierwszy znaczek w r. 1840 i za jej przykładem poszły naturalnie wszystkie państwa, a wobec tego, iż we wielu krajach zmieniano b. często całe serje, wydano do tej pory, a więc w ciągu prawie 100 lat przeszło 100.000 różnych marek!

Istnieje szereg katalogów (najbardziej znane niemieckie Michel i Senf i francuski Yvert), w których wszystkie znaczki są zestawione krajami, z podaniem roku wydania, wartości nominalnej, koloru, oraz ceny filatelistycznej.

Bardzo często spotykam się z mniemaniem, iż tylko ostemplowane marki posiadają wartość. — Przeciwnie — prawdziwi „smakosze" lubują się w znacznie droższych „czystych" znaczkach, gdyż one tylko mogą być oglądane w całej okazałości. Cena znaczka zależy od dwóch momentów: 1) od rzadkości, 2) od zainteresowania danym krajem. Wszyscy prawie filateliści zbierają znaczki takich krajów, jak Anglja, Niemcy, Belgja, ale np. znaczki Ukrainy, lub też Afganistanu nie znajdują wcale amatorów, jako że są przeważnie fałszowane. Najdroższym jest znaczek z angielskiej Gujany z r. 1856, który zachował się tylko w jednym jedynym egzemplarzu! Spadkobiercy mr. Hind'a, który posiadał go w swym największym na świecie zbiorze, uzyskali za niego kilka miesięcy temu około 300.000 złotych.

Niemniejszą sławą cieszą się Mauritiusy; jest ich (z wydania r. 1847) kilkanaście zaledwie sztuk. Wobec olbrzymiej ilości interesujących marek, zbieracze ograniczają się obecnie i kolekcjonują albo tylko znaczki przedwojenne, albo tylko europejskie, lub też niestemplowane kilku krajów, a u nas w Polsce jest b. wielka ilość filatelistów, którzy poszukują tylko marek, jakie pojawiły się na naszych ziemiach.

Dawniej poczty wydawały tylko takie marki, które były konieczne. Po wojnie natomiast, wobec kiepskiego stanu finansów, postanowiły ministerstwa poczt we wielu krajach pokrywać deficyt z kieszeni filatelistów. Najrozmaitsze marki zaczęły się mnożyć jak grzyby po deszczu: dobroczynne, lotnicze, jubileuszowe, często wspaniałe pod względem druku, rysunku i koloru, ale nie przedstawiające właściwie poważnej wartości filatelistycznej. Prym wiodą pod tym względem Włochy, obchodząc 3 razy do roku jakieś przedziwne jubileusze i każdy musi przyznać, że państwo, które od r. 1861 do 1920 wydrukowało 130 różnych marek, nie potrzebowało od 1920 do 1933 wypuścić ich aż trzysta. Naturalnie cierpliwość filatelistów i ich „zdolność finansowa" mają też swoje granice i znaczki wielu państw, które zostały wydane, aby zbieraczy „obedrzeć ze skóry", powinny być uznane za bezwartościowe. Silne tendencje, panujące pod tym względem w wielu państwach, muszą i w Polsce być jak najsilniej poparte.

Witold Horain.

HOCKI KLOCKI

Poniżej zamieszczamy dla naszych Czytelników kilka łamigłówek, które bezwątpienia przysporzą kilka miłych chwil sympatykom tego rodzaju rozrywek.

1. MŁODZI MATEMATYCY.

Na ławce w parku siedziała młoda dziewczynka, pilnująca zabawy czworga dzieci — zapewne rodzeństwa. „Ciekawy jestem, ile też lat mogą mieć te śliczne dzieciaczki" — zagaił rozmowę młody człowiek z drugiego końca ławki. „Ja już jestem cała dwa razy starszy od Zosi" — oświadczył zaraz z dumą Maciek. „Tak, ale zato suma lat moich i Zosi dwukrotnie przewyższa twój wiek" — nie omieszkała dodać Mania. „To nic — my chłopcy i tak jesteśmy górą" — wtrącił się do rozmowy Staś. „Przecież mamy w sumie dwa razy więcej lat od obu dziewczynek". „Nie macie się chłopcy czem przechwalać" — zabrała głos opiekunka — „bo macie razem tylko połowę dodanych lat moich, Mani i Zosi". „Jestem zachwycony matematycznemi zdolnościami pani i dzieci, ale muszę się przyznać, że najbardziej mnie interesuje właśnie pani wiek" — rzekł młody człowiek. „O, to wielka tajemnica" — uśmiechnęła się dziewczyna, „ale powinien pan ją wyświetlić, jeśli panu jeszcze dodam, że Staś ma równo dziesięć i pół lat"

W jakim wieku była reszta rodzeństwa?

2. SAMOTNA SIÓDEMKA.

Proponujemy czytelnikom zrekonstruować dzielenie, w którem wszystkie cyfry — z wyjątkiem jednej siódemki — zastąpione są gwiazdkami.

```
* * * * * * * * : * * * = * 7 * * *
* * * *
―――――
    * * *
    * * *
    ―――――
    * * * *
      * * *
      ―――――
        * * * *
        * * * *
```

Zadanie nie jest tak trudne, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Naprzykład jeśli dzielnik pomnożony przez 7 daje tylko trzy cyfry, to wiemy, że jego pierwszą cyfrą musi być 1. Teraz możemy stwierdzić, że i pierwsza cyfra dzielnej musi być 1. Przeniesienie wdół dwóch ostatnich cyfr dzielnej wskazuje na to ,że przedostatnia cyfra ilorazu jest 0, że pierwsza i ostatnia cyfra ilorazu muszą być większe od 7, gdyż obie dają liczby czterocyfrowe i t. d.

3. MISJONARZE I LUDOŻERCY.

W wielkim kłopocie znaleźli się pewnego razu trzej misjonarze i trzej ludożercy, gdy chcieli przeprawić się przez rzekę w małej łódce, która mogła pomieścić naraz tylko dwóch ludzi. Misjonarze dobrze znali szczególne zamiłowanie gastronomiczne swych pupilów, toteż nie było mowy o pozwoleniu na pozostanie ich w większości na którymś z brzegów rzeki. Tylko jeden misjonarz i tylko jeden ludożerca umieli obchodzić się z łódką. W jaki sposób winni zorganizować przeprawę?

4. NIESPODZIEWANY STRZAŁ.

Gajewski, Majewski i Rajewski spędzali wakacje nad morzem. Pewnego dnia wyjechali łodzią na spacer i oddalili się o milę, gdy ktoś na brzegu wystrzelił do nich z karabinu. Kto strzelił i z jakiego powodu, tego nie udało się ustalić, lecz stwierdzono następujące fakty: Gajewski tylko słyszał strzał, Majewski dostrzegł dymek wystrzału, lecz nic nie słyszał, Rajewski widział kulę, rozbryzgującą wodę w pobliżu łodzi. Który z nich pierwszy dowiedział się o wystrzale?

5. WAŻENIE KAWY.

Kupiec chciałby rozważyć 2 kg kawy na dziesięć paczek po 20 dkg, lecz ktoś zabrał odważniki, z których pozostały tylko jeden 90-ciodekowy i jeden 50-ciodekowy. W jaki najprostszy sposób można rozważyć kawę? Zaznaczamy, że wyważenia dziesięciu paczek można dokonać w dziewięciu odważaniach.

6. DZIWNA JABŁOŃ.

Na stojącej w ogródku czarownika jabłoni wisiały jabłka. Przyszedł ogrodnik i trząsł jabłonią tak długo, że na drzewie nie pozostały jabłka — jednak i nie spadły z niego. Ile jabłek było na jabłoni, gdy przyszedł ogrodnik?

7. NUMERY TELEFONÓW.

Dziwnym zbiegiem okoliczności numery dwu telefonów pewnego biura różnią się od siebie tylko tem, że pierwsza cyfra jednego numeru jest o 1 większa od pierwszej cyfry numeru drugiego. przyczem w numerze drugim suma cyfr drugiej i trzeciej jest większa od sumy cyfr czwartej i piątej o cyfrę pierwszą, natomiast w numerze pierwszym suma cyfr drugiej i trzeciej jest większa od sumy cyfr czwartej i piątej tyle razy, ile jednostek zawiera cyfra pierwsza tego numeru. Zaznaczyć należy, że cyfry obu numerów ustawione są w malejącym porządku. Jakie są numery obu telefonów?

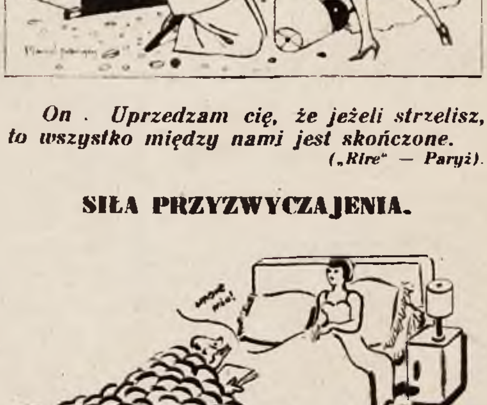


GROŹBA.



On . Uprzedzam cię, że jeżeli strzelisz, to wszystko między nami jest skończone.
(„Rire" — Paryż).

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA.



Jak sufler spędza noc poślubną.
(„Il Travaso delle Idee").

To warto poznać..

NA SCENIE.

Jednem z ciekawszych wydarzeń teatralnych kończącego się sezonu jest warszawskie przedstawienie w teatrze „Comoedia" sztuki **Leona Kruczkowskiego** p. t. **„Bohater naszych dni"**. Jest to pierwsza oryginalna sztuka dramatyczna świetnego powieściopisarza o zdecydowanej ideologji społecznej. „Bohater naszych dni" to — jak pisze J. E. Skiwski — „nie bez zręczności scenicznej ułożony przez partyjnika pamflet na konkurencję z przeciwka". Narodowy socjalizm — to dla autora kukła, którą obrzuca błotem... Akcja sztuki rozgrywa się w Niemczech r. 1932 w okresie walk o władzę pomiędzy hitlerowcami, narodowo niemieckimi i komunistami. W sztuce chodzi o to, by ruch hitlerowski przedstawić jako oszukańczy humbug, jako płód głupoty, łajdactwa i wszystkich innych wad, które p. Kruczkowski spostrzega tylko u swych przeciwników..."

Sztuka Kruczkowskiego nie posiada wielkiej zwartości dramatycznej, ale słucha się jej z zainteresowaniem. Jest bowiem owocem szczerego wysiłku myślowego i rzetelnej pracy. Sztukę, która posiada sporo trafnych charakterystyk i żywych sytuacyj, gra zespół teatru „Comoedia" zupełnie dobrze w pomysłowej reżyserji E. Poredy.

(swb).

NOWE KSIĄŻKI.

Poczciwy gawędziarz **Locke**, którego długie szeregi powieści weszły na rynek polski, zyskując sobie sporo sympatyj ze strony czytelników — znowu zajaśniał na horyzoncie. Oto wydano przekład jego sporej powieści: **„Ród Baltazarów"** (Przekł. B. Kopelówna, „Rój", 1935). Rzecz, jak zwykle u tego miłego pisarza, przepojona szlachetnością myśli i wiarą w ludzką dobroć. Znajdzie ona napewno licznych wielbicieli i czytelników. Bo Locke to dobre wytchnienie, to pogoda ducha iście angielska!

W świat lotników i pilotów przenosi nas autor amerykański **Arnold Hagenbach** w swoim reportażu **„Pilot Tex"** (Wydawnictwo Nowoczesne, Warszawa 1935). Jest to przejmujące i piękne opowiadanie o bohaterskich wyczynach pilotów komunikacyjnych w USA. Książka ta cieszyć się będzie największem powodzeniem napewno u młodzieży, bo apeluje do zmysłu przygody i bohaterstwa. Przekład M. Tarnowskiego.

Ponurą wizję człowieka opętanego namiętnością daje nam świetny pisarz francuski **Juljan Green** w powieści **„Lewjatan"** („Renaissance", 1935). Przekład L. Staffa nie oddaje niestety uroku tej powieści wysokiej marki. Nastrój jednolicie tragiczny, przytem dramatyczność wzmaga się stopniowo a umiejętnie. Piękna to pozycja literatury francuskiej. Należy pamiętać, że Green jest Anglikiem, który przebywając przez długie lata we Francji, począł pisać po francusku.

Światowej sławy publicysta specjalizujący się w odmalowywaniu wybitnych osobistości współczesnych — **Emil Ludwig** daje szereg portretów czołowych mężów stanu w swej książce **„Wodzowie Europy"** („Rój", 1935), świeżo przełożonej na język polski aż przez trzech tłomaczy. Kto chce poznać dokładnie sylwetki Nansena, Masaryka, Lloyda George'a, Rathenau'a, Brianda i Stalina, ten znajdzie w lekturze Ludwiga sporo ciekawego materjału. Rzecz, pisaną gładko i potoczyście, czyta się ze szczerą satysfakcją.

Wielki cykl powieściowy **Romain Rollanda: „Dusza zaczarowana"** dobiega kresu. Obecnie pojawiła się czwarta część tego pięknego utworu p. t. **„Zwiastunka"** (Wydawnictwo Polskie, Poznań, 1935). Szlachetny nastrój tego utworu i wysoki kunszt pisarski zdobył sobie uznanie w Polsce, skoro jedna z partyj tego cyklu „Anetka i Sylwja" doczekała się drugiego wydania. Całość przełożył L. Staff.

Znany dobrze miłośnikom książki jak i filmu **Michael Arlen**, autor głośnego **„Zielonego kapelusza"** (przerobionego na film z Gretą Garbo) — puścił wodze swojej fantazji dając nam obraz świata w niedalekiej przyszłości: **„Świat w r. 1987"**. Książka pisana żywo i z wdziękiem, przeznaczona była wyraźnie dla odcinka, co odbiło się ujemnie na jej jakości literackiej. Przekład p. Bronisławy Kopelówny dobry. Rzecz wyszła nakładem ruchliwej firmy J. Przeworskiego w Warszawie.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela 30 VI. 1935.

10.30: Transmisja Nabożeństwa z Rogalinka.
12.20: Poranek muzyczny. — W przerwie poranku o godz. 13.00: fragment słuchowiskowy „Z chłopa król".
16.45: „Pierwszy polski literat marynista".
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk".
18.15: Billy Mayerl wykonawca własnej kompozycji.
18.45: „Dawne i nowoczesne dyliżanse".
19.50: Feljeton p. t. „Trampy polskie".
20.00: „Józef Piłsudski jako twórca siły wojskowej" — wygł. Dr. Wacław Lipiński.
21.00: Recital Mieczysława Saleckiego (tenor).
21.30: „Chata Żeromskiego" — tr. przy mikrofonie Witold Hulewicz.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.20: „Marynarka gra".

Poniedziałek 1 VII. 1935.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk".
13.00: Chwilka dla kobiet.
15.30: Melodje z filmów dźwiękowych.
18.00: Pogadanka Brunona Winawera.
20.10: „Wiedeń zawsze ten sam".
20.55: „Obrazki dawnej i współczesnej Polski".
21.00: Koncert.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Mała Orkiestra P. R.

Wtorek 2 VII. 1935.

16.15: Fr. Schubert: — Kwartet G-dur Nr. 15 op. 161 w wykonaniu Kwartetu Kolischa (płyty).
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk".
18.00: Odczyt z cyklu astronomicznego.
19.30: Recital skrzypcowy Stelli Dortheimer.
20.10: „Mały Mozart" — Audycja muzyczno słowna.
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
21.00: „Główna wygrana" — Operetka w 1-ym akcie W. Hausmana.
22.30: Wiadomości sportowe.
22.40: Mała Orkiestra P. R.

Środa 3 VII. 1935.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk".
13.05: Chwilka dla kobiet.
16.50 „O domowym wyrobie wina".
17.00: „Djalogi wśród balu i tańca".
18.45: Jazzowe figielki.
19.30: Zespół piosenkarek „Irmay".
20.10: „Z oper Bellini'ego".
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
21.00: Koncert Chopinowski w wyk. Bolesław Woytowicza.
21.40: W stulecie urodzin Henryka Wieniawskiego.
22.05: Wiadomości sportowe.
22.15: Koncert M. Ork. P. R. pod dyr. Zdz. Górzyńskiego.

Czwartek 4 VII. 1935.

13.00: Chwilka dla kobiet.
15.30: Muzyka taneczna.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk".
18.30: „Dokąd jechać w święto".
19.30: II-ga Audycja z cyklu „Preludja Fugi J. S. Bacha".
19.50: Feljeton aktualny.
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
21.15: Zapomniane walce.
21.30: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Czy pójdzie pan zemną na ryby?" p/g Jana Roeslera, z udziałem Karoliny Lubieńskiej.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Mała Orkiestra P. R.

Piątek 5 VII. 1935.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk".
15.30: Koncert chóru „Esben".
16.00: „Słońce — źródło zdrowia i choroby — w lecie".
16.15: Koncert Orkiestry salonowej pod dyr. Tadeusza Seredyńskiego ze Lwowa.
17.20: Koncert orkiestry kameralnej z Wilna pod dyr. Czosnowskiej.
19.57: Wesoły monolog aktualny, pióra Marjana Hemara.
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
21.00: Koncert Symfoniczny.
22.00: Wiadomości sportowe.
23.05: Muzyka taneczna.

Sobota 6 VII. 1935.

12.15: Koncert z udziałem solistów (płyty).
13.00: Chwilka dla kobiet.
15.25: „Nasz handel morski".
16.30: „Uczmy się pływać" tr. na wesoło z Krakowa.
17.00: Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk".
18.00: Poradnik sportowy.
18.45: Fr. Liszt: „Mazepa" — poemat symfoniczny.
20.10: „Z operetek Fr. Lehara".
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: „Pierwsza Wesoła Syrena".

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.